Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

GONIEC KRAKOWSKI 3 Mk.

Redakcya i Administracya: Kraków, ul. Dunajewskiego Nr. 7, Telefon Nr. 2502. P. K. O. Nr. 140.011.
Biuro miastowe administracyi: Karmelicka 16, Telefon Nr. 2086

Prenumerata w Krakowie: miesięcznie Mk 82·— Z odnoszeniem do domu oraz na prowincyi miesięcznie Mk 90·— Rękopisów Redakcya nie zwraca.

Nr. 1. — Rok IV. Kraków, sobota 1 stycznia 1921. Redaktor naczelny: Józef Rączkowski.

* * *

Jeszcze gdzieś echo wojenne świszcze,
Jeszcze się dymią i świecą zgliszcze,
A już pokoju Anioł z za świata
Nad ziemią wzlata.

Anioł — Rok Nowy głosi orędzie:
„Już Pan Bóg ludzi karał nie będzie.
„Gdyż starł to, które kalało ziemię,
„Kainów plemię.

„Padł — jak wyroki niebios dowiodły —
„Krwiożerczy Prusak, Austryak podły,
„Moskal, ostatni zbir w Europie,
„Grób sobie kopie".

Anioł — Rok Nowy głosi orędzie:
„Pokój i Wolność niech błyśnie wszędzie!

„Ty Polsko będziesz przed mocą wrażą
„Swobody strażą!"

„O! wyjdź rolniku nad Wisłą, Bugiem,
„Krajać spokojnie zagon swój pługiem
„A gdy wyorzesz braci swych kości,
„Westchnij w cichości!

„Bo oni w wielkiej, dziejowej chwili,
„Wolność narodu nam wywalczyli.
„Na krwią zroszonej twej ojcowiźnie
„Wzejdzie chleb żyźnie!"...

Anioł — Rok Nowy głosi orędzie;
Że dobrze w Polsce wtedy nam będzie,
Gdy wyrwiem z duszy, jak chwasty z grzędy,
Własne swe błędy!...

Kr.

ROK 1921.

Kraków, 31 grudnia.

Niewesołe są zaprawdę stosunki, wśród których Polska wstępuje w nowy rok.

Nasza sytuacya zagraniczna ciągle jeszcze niepewna: zawarcie definitywnego pokoju odwleka się z dnia na dzień, plebiscyt górnośląski wisi nad nami, jak gradowa chmura, polskie Wilno przeżywa mękę niepewności. Gdyby rozstrzygnięcie tych problemów od nas tylko zależało, gdyby istotnie decydowała tylko wola ludu polskiego, moglibyśmy patrzeć w przyszłość bez pesymizmu. W żadnej jednak z tych kwestyj nie wypowiemy sami ostatniego słowa. Pokój będzie, gdy zechcą go szczerze bolszewicy, Górny Śląsk i Wilno będą musiały zwalczyć nietylko zamachy bezpośrednich przeciwników, ale też niewiadomość i uprzedzenia międzynarodowego „trybunału". Skoro zaś uprzytomnimy sobie, jak na jego wyroku wyszliśmy w sprawie Cieszyńskiej i gdańskiej — to istotnie ogromna troska zasępić musi nam czoła.

Położenie zewnętrzne jest może nie rozpaczliwe, niewątpliwie przecież poważne. Szanse nasze poprawią, względnie pogorszą się w miarę tego, czy będziemy jako społeczeństwo i państwo silniejsi względnie słabsi. Z organizmem spoistym, hartownym, świadomym swoich celów liczyć się będą wszyscy, jawnie nieprzyjaźni i niechętni, — z „chorym człowiekiem" nikt ceremonij nie będzie sobie robił.

Popatrzmy przeto na nasze położenie wewnętrzne i oceńmy, czy nasz organizm krzepnie, czy też popada w coraz większą niemoc, w coraz groźniejszą chorobę.

I znowu już pierwsze widoczne oznaki przejąć nas muszą prawdziwą trwogą.

Przesilenie rządowe, finansowe, ogólno gospodarcze, aprowizacyjne.., Nie dzieje się w Polsce tak, jakby się dziać powinno.

Na trudności wewnętrzne byliśmy od początku przygotowani. Istnieją one w każdem państwie, muszą więc istnieć także i w państwie rozpoczynającem życie po półtorawiekowej niewoli, wśród strasznego kataklizmu wojennego. Nie przerażałoby nas nawet chwilowe ich spiętrzenie, gdyby nie źródło, z którego one płyną. Powiedzmy sobie bowiem jasno: wszystkie przesilenia, których jesteśmy świadkami, to tylko zjawiska pochodne, to tylko funkcye najgroźniejszego z przesileń, z **kryzysu duszy polskiej.**

Mamy z natury wiele błędów; zbyt łatwa pobudliwość, a zbyt mała wytrwałość, wybujała indywidualność, dochodząca do nieuznawania wszelkiego autorytetu rozproszkowanie partyjne — oto kilka największych wad. Nie jesteśmy więc świetnym materyałem państwowotwórczym i nie byliśmy nim nigdy. Teraz jednak do wad dawnych przytączyły się nowe, zrodzone w okresie ujarzmienia. Pod obcym obuchem, zepchnięci z warsztatów pracy publicznej, odsuwani stale od skomplikowanej machiny państwowej, zatraciliśmy świadomość potrzeb państwa i płynących stąd dla społeczeństwa nakazów. Pojęcie racyi stanu jest obecnie dla wielu, zbyt wielu Polaków czemś nieistniejącem, a w każdym razie nieokreślonem. Wyrobił się w nas natomiast duch przekory, wiecznej opozycyi, odmawiania państwu wszystkiego, czego ono żąda, niepodporządkowywanie się jego wymaganiom. **Psychika bojkotu** — oto co w stosunku do państwa wytworzyła w nas niewola.

Ten bojkot i ta negacya państwa straciły w chwili odzyskania niepodległości wszelką naturalną podstawę; z narodowej zalety stają się one teraz narodową klęską, z zasługi — zbrodnią. Jeżeli chcemy żyć i rozwijać się, musimy przewartościować swą etykę publiczną, musimy odnośnie do zagadnień państwowych zastąpić bierny opór czynną, chętną współpracą.

Tymczasem to przewartościowanie etyki w wielu dziedzinach dotąd nie nastąpiło. Dzieje się to w **masach** nie ze złej woli, lecz z niedość wyrobionej świadomości. Każdy z osobna Polskę kocha, będzie jej bronił i o nią walczył, ale co drugi z tych, co za nią na polu bitwy walczyli będzie uważał władzę za zło, poborcę podatkowego za wroga, ustawę za przeszkodę, którą należy sprytnie obejść, karność za niewolę. Mamy tu do czynienia z **nałogami myślowemi**, trudnemi do wykorzenienia, zwłaszcza, gdy idzie o problemy bardziej skomplikowane, których podstawy i skutki niewidoczne są na pierwszy rzut oka.

Niewola „obdarzyła" nas wreszcie długim szeregiem „polityków", którzy na negacyi wyrosli i do pozytywnego działania są dziś niezdolni. Mącą oni, podburzają przeciw własnemu państwu (wzgl. jego organom) tak, jak swego czasu przeciw najeźdźcom. Ile złego ci „przywódcy" wyrządzili, z tego nie zdajemy sobie nawet sprawy.

Przesilenie duchowe społeczeństwa istnieje przeto w całej, zastraszającej pełni. Dawne błędy trwają, nowe przybyły, wszystkie są odpowiednio „rozwijane" przez niepoczytalnych, zbrodniczych demagogów — budowa państwa postępuje więc leniwo, ciągle się coś rwie i psuje. Warcholstwo, brak rozumu politycznego wśród „górnych dziesięciu tysięcy", roznamiętnienie partyjne i stare nałogi myślowe wśród mas święcą prawdziwe tryumfy. Wskutek nich mamy ciągle kryzysy rządowe. sejm bez trwałej większości, im to w znacznej mierze zawdzięczamy kłopoty żywnościowe.

Chorobę leczyć trzeba gruntownie. Usunięcie zewnętrznych objawów nie wystarcza. Dlatego też chwilowe załatanie jednej, czy drugiej trudności nie uzdrowi jeszcze naszego organizmu, nie da mu siły potrzebnej do normalnego rozwoju i do pokonania trudności na arenie międzynarodowej. Wyleczyć musimy także samo społeczeństwo.

Do tego dzieła należy zabrać się w rozpoczynającym się dziś nowym roku. Musimy w ciągu jego dwunastu miesięcy złożyć trudny egzamin. W latach 1918—19 udowodniliśmy, że potrafimy zrzucić kajdany zaborców, w r. 1920 stwierdziliśmy, że nasz byt niepodległy umiemy z bronią w ręku utrzymać, w roku 1921 wykażmy, że zdolni jesteśmy wyzwolić się z oków własnych błędów i że umiemy państwo budować.

W dniu noworocznym winno na całym obszarze ziem polskich rozebrzmieć jedno życzenie: „Obyśmy nauczyli się dla Ojczyzny tak pracować i żyć, jak umieliśmy o nią walczyć i za nią ginąć."

L. R.

O chleb codzienny.

Kraków, 31 grudnia.

Na czoło zagadnień państwowej natury wysunęła się obecnie **sprawa aprowizacyi.** Nie jest to bynajmniej problem tylko polski, nie my jedni znajdujmy się w ciężkich kłopotach żywnościowych. Wedle wiarygodnych informacyi sytuacya aprowizacyjna jest równie zła w Niemczech, w Austryi, we Włoszech, we Francyi i w innych krajach Europy. Jest to jeden z donioslych skutków wojny długoletniej, skutek od kilku lat trwającej nieproduktywności w najurodzajniejszych ziemiach Europy wschodniej i środkowej. Wszystkie rządy w Europie łamią sobie dziś głowę nad znalezieniem wyjścia z położenia trudnego, bo, jako dalszy skutek światowej wojny, wszystkie państwa wstrząsane są jeszcze dreszczami rewolucyi, której największym rozsadnikiem z natury rzeczy staje się głód.

Z jednego zdać sobie jasno sprawę, mianowicie z faktu, **że tegoroczna produkcya środków żywności w Polsce nie wystarcza na pokrycie całorocznego zapotrzebowania ludności.** Miliony morgów najurodzajniejszej ziemi, wskutek wypadków wojennych leżące zupełnie odłogiem, ograbienie znacznej części ludności państwa ze zboża podczas bolszewickiego najazdu, zmniejszona wydajność ziemi z powodu braku sztucznych nawozów i należytej uprawy, tłumaczą całkiem ten na pozór niezrozumiały fakt. Utarte przekonanie, że Polska jest krajem wybitnie rolniczym, będzie miało realną wartość prawdy dopiero za lat kilka gdy się uruchomi gospodarstwa, zagospodaruje odłogi, wyjałowioną ziemię przywróci do stanu przedwojennego Gdyby ci, co najbardziej narzekają na złą gospodarkę środkami żywności w Polsce, jasno zdawali sobie z tego sprawę, to z pewnością nie słyszałoby się owych stereotypowych już wykrzyków, któremi się szermuje na zgromadzeniach w miastach i miasteczkach, że „chłopi mają co jeść, wieś ma co jeść, a tylko miasta głodują". Niewątpliwie, chłopi zamożni, posiadający większe warsztaty pracy, mają co jeść, ale nie mają co jeść ci, którzy mają mórg lub dwa ziemi, albo którzy jej wcale nie mają, a tych jest przecież na wsi w Polsce procent bardzo znaczny. Jednego tylko środka aprowizacyjnego mamy dosyć, mianowicie **ziemniaków.** Gdyby nie fa-

talna gospodarka kolejowa, gdyby nie niesłychanie smutny objaw zupełnego rozprzężenia na kolejach (koleje w Polsce są w rękach Związku kolejarzy, tak że nie można dziś powiedzieć, jakoby były własnością państwa polskiego), to możnaby było całą ludność Polski dostatecznie w ziemniaki zaopatrzyć, a to byłoby już rzeczą wielkiej doniosłości. I tak jednak trzeba sobie powiedzieć, że urodzaj ziemniaków pozwoli nam w tym roku gospodarczym łatwiej przetrzymać krytyczny okres, bo bądź jak bądź ziemniaki stanowią najcodzienniejszą i najtańszą strawę mas szerokich.

Rząd poczynił zamówienia **w Rumunii i w Ameryce**. Z obu tych krajów nadejść mają większe ilości mąki i zboża. Gdy one jednak nadejdą, to mimo wszystko nie będziemy jeszcze mieli środków żywności zadużo i trzeba będzie **prawdziwej oszczędności**, aby przetrzymać do nowych zbiorów.

Tymczasem okres największej biedy zbliża się szybkimi krokami. Narzekanie na rząd, wymyślanie na „paskujących" chłopów, ani sytuacyi nie zmieni, ani głodnym żywności nie dostarczy. Trzeba szukać dróg wyjścia, może dotąd nie praktykowanych, trzeba ich jednak szukać i znaleźć, bo przetrwać musimy.

Przedewszystkiem więc samo **społeczeństwo** musi wziąć najwydatniejszy udział w pracy rządu **nad załagodzeniem nędzy aprowizacyjnej**. Jeśli chodzi o wieś, to trzeba otwarcie powiedzieć, że **gospodarze zamożniejsi**, kilku i kilkunastomorgowi, **zasklepili się w niesłychanie ciasnem sobkostwie i, jak nigdy nie byli zbyt wrażliwi na niedolę bliźniego, tak teraz pod tym względem stępieli zupełnie**. Objaw to i ze stanowiska ludzkiego i ze stanowiska państwowego niegodny czasów, w jakich żyjemy. Są zapewne wsie, jest ich nawet dużo, w których cała ludność nie jest w możności wyżywić się tem, co dana wieś produkuje, ale większość wsi posiada jeszcze dzisiaj zasoby, które przy racyonalnem gospodarowaniu wystarczyłyby w zupełności na pokrycie zapotrzebowania całej ludności, posiadającej ziemię i nie posiadającej jej. Możeby nie było bez korzyści, **gdyby rząd**, przedstawiwszy należycie ludności rolniczej, a więc zarówno chłopom, jak i wielkim obszarnikom, rzeczywisty stan aprowizacyjny państwa, **oddał pieczę nad wyżywieniem bezrolnych i małorolnych na wsiach czynnikom samorządowym, a więc gminom, względnie powiatom**. Toby w ogromnej mierze ułatwiło zadanie rządowi, ulżyłoby zaś miastom, które mogłyby wtedy w większej mierze korzystać z dowozu z za granicy. Gdyby w przeciętnej wsi gospodarze otrzymali **nakaz rządowy wyżywienia bezrolnych i małorolnych**, to może w tej i owej wsi nie daliby rady, ale jednak **w ogromnej ilości wsi potrafiliby zadanie to spełnić** przez co odjęliby rządowi troskę o tysiące biedaków, bezrolnych, komorników i wyrobników na wsi. O tych największych biedakach za mało się wie i za mało się mówi, bo oni nie demonstrują, nie urządzają pochodów, jak to się dzieje w miastach, ale w milczeniu cierpią.

Rzucam myśl. Rzeczą czynników miarodajnych jest zastanowić się, czy myśl ta nie przyniosłaby praktycznych, korzystnych rezultatów.

Przy takiej uldze dla państwa, przy uwolnieniu rządu od dostarczania żywności wszystkim bezrolnym i małorolnym na wsiach, zarówno ludność miejska, jak ośrodki przemysłowe mogłyby, jak już wspomniałem wyżej, czerpać z posiadanych przez rząd zapasów i z dowozu zagranicznego w pełniejszej, niż dotychczas mierze, przyczem oczywiście normalne funkcyonowanie aparatu administracyjno-żywnościowego zależeć będzie od sprawności kolei.

Jednakże **i w miastach trzebaby zastosować pewne obostrzenia**. Jak na wsi są gospodarze, którzy mają poddostatkiem żywności, tak i **w każdem mieście znajduje się znaczna część obywateli, zaopatrzona już dzisiaj w żywność na kilka miesięcy**. Mimo to jednak **ta część obywateli korzysta z racyi, przyznawanych przez państwo, a co gorsza, ta właśnie ludność**, dzięki wpływom, jakie posiada, **znacznie prędzej od państwa te racye uzyskuje, aniżeli najwięksi biedacy**. Trzebaby więc było przeprowadzić **surową regestracyę ludności miejskiej, posiadającej zapasy żywności i uwolnić państwo od dostarczania żywności tym, którzy bez państwowej pomocy się obejdą** i których korzystanie z racyi państwowych jest poprostu krzywdzeniem najbardziej potrzebujących.

Przy tem wszystkiem nie należy spuszczać z oka sprawy zasadniczej, mianowicie **powrotu do wolnego handlu**. Nakazuje to konieczność gospodarcza, nakazuje praktyka życiowa. System sekwestru czy kontyngentu zbankrutował nawet w tak sprawnie administrowanem państwie, jak Rzesza niemiecka. Gdybyśmy dzisiaj urządzili referendum, urządzili głosowanie ludowe w całej Polsce, i zażądali od całej ludności oświadczenia, czy chce wolnego handlu, czy też utrzymania dzisiejszego systemu kontyngentu i sekwestru, to możemy śmiało powiedzieć, 90 procent ludności **oświadczyłoby się za wolnym handlem**. Za wolnym handlem byłaby cała wieś, byłyby w pierwszej części miasta, byłyby nawet sfery robotnicze, które przekonały się dowodnie, że żywienie ludności przez państwo, że nakłada nie więzów producentom rolnym, kończy się zawsze głodowaniem najbiedniejszych. Przeciwko wolnemu handlowi byłaby tylko ta nieliczna część społeczeństwa, która istotnie korzysta, może dzięki swojej specyalnej organizacyi, z aprowizacyi państwowej. Kontyngent czy sekwestr pociąga za sobą zawsze handel tajemny, a ten wyradza się z reguły w handel paskarski, który jest plagą dzisiejszych czasów. Słyszy się przecie nieraz w miastach w sferach najuboższych zdanie: „Żeby to raz nareszcie wróciły dawne czasy, żeby ludzie mogli kupować i sprzedawać bez przeszkód ze strony władzy, toby też wszystkim było lepiej! Cóż nam bowiem z tego, że nie wolno sprzedawać zboża, kiedy ci, co mają pieniądze, zawsze je będą mieć, bo je będą przepłacać, a biedni kupić nie mogą, bo producent rolny, zmuszony kryć się ze sprzedażą, narażony na rozmaite kłopoty z władzami przy rzeczy tak prostej jak sprzedaż zboża, każe sobie za nie więcej płacić".

Sfery robotnicze sprzeciwiają się zasadniczo wolnemu handlowi i domagają się bezwzględnego **sekwestru wszystkich ziemiopłodów**. Jest to **postulat raczej polityczny, niż praktyczny**. Sekwestr, wprowadzony w Poznańskiem, w dzielnicy dobrze administrowanej, w której ludność przyzwyczajona jest do ślepego wypełniania rozkazów rządu, rozkazy te szanuje i wypełnia, doprowadził do tego, że nawet w tej dzielnicy wytworzył się handel tajemny, a co za tem idzie, pasek. Niezaradność naszej młodej, niedoświadczonej i niezawsze na odpowiedniej wyżynie moralnej stojącej administracyi, pomnaża jeszcze trudności, związane z sekwestrem. Przekonaliśmy się aż nadto dowodnie, że administracya nasza nawet tem, co posiada nie dobrze gospodarzy, że się poważną ilość środków żywności zmarnowało dlatego, bo nasz aparat państwowy nie jest w stanie sprostać temu olbrzymiemu zadaniu, któremu zresztą nie sprostał aparat państwowy ani w Austryi, ani na Węgrzech, ani w Niemczech, ani nigdzie.

Pogodzić postulat warstw robotniczych z postulatem dziewięciu dziesiątych ludności jest w tym wypadku niesłychanie trudno. I tu jednak może by się dało znaleźć wyjście. Rzucam znowu myśl, którą poddaję pod dyskusyę.

Gdyby rząd **zabezpieczył organizacyom spożywczym, kooperatywom trudniącym się aprowizowaniem swoich członków**, (a kooperatywy posiadają i robotnicy i urzędnicy i kolejarze i nieomal wszystkie warstwy, nie produkujące środków żywności), gdyby więc rząd zabezpieczył im **bardzo wydatną pomoc finansową, oraz** możność zaopatrywania się w zboże i tłuszcze z za granicy, to niewątpliwie sfery te nie miałyby nic przeciwko wprowadzeniu wolnego handlu. Mam wrażenie, że po wprowadzeniu wolnego handlu wydobyliby rozmaici spekulanci — w mniejszym czy w większym stylu — zapasy zboża, któreby się nareszcie pokazało na targach w ilości większej, niż to ma miejsce dotychczas. Kooperatywy aprowizacyjne mogłyby kupować zboże i w kraju i płacić za nie ceny nawet bardzo wysokie, bo korzystając z pomocy rządowej, mogłyby członkom swoim sprzedawać zboże czy mąkę po cenach np. o połowę niższych. I tak rząd miliardy dopłaca do wyżywienia ludności. W ten sposób zadowoliłoby się wszystkich tych, co pragną wolnego handlu, a nie naraziłoby się na krzywdę tych, którzy są w najgorszem położeniu, a więc ludności miejskiej, urzędników, robotników, kolejarzy itd. Wprowadzenie wolnego handlu uzdrowiłoby zasadniczo stosunki i odbiłoby się za kilka miesięcy, z rozpoczęciem nowego roku gospodarczego, korzystnie nawet na cenach produktów rolnych, które o ileby zwłaszcza był urodzaj, przy wolnym handlu musiałyby absolutnie spaść.

Ma to znaczenie dla całej kwestyi drożyźnianej wogóle, bo dopóki ceny chleba nie spadną, dopóty o zmniejszeniu się drożyzny wszystkich artykułów codziennego zapotrzebowania nie może być mowy.

Położenie aprowizacyjne w Polsce wymaga szybkiej decyzyi, jeżeli nie mamy znaleźć się pewnego dnia w sytuacyi bez wyjścia. Społeczeństwo samo, jak zaznaczyłem, musi pójść z pomocą rządowi, musi samo przyczynić się do znalezienia dróg, które umożliwią nam przetrwanie tego najcięższego, zaiste, okresu w dziejach naszej odrodzonej Ojczyzny. **J. R.**

„Polskę należy zabezpieczyć przed bolszewikami".

Warszawa międzynarodową podstawą wojskową.

Warszawa. (Tel. M.) Według otrzymanych tu wiadomości z Paryża we Francyi panuje opinia, że **Polskę należy zabezpieczyć przed możliwym napadem bolszewików**. Dlatego też **generał Weygand chce założyć w Warszawie podstawę wojskową międzynarodową, która na czas plebiscytu miałaby opiekować się Wileńszczyzną. Francya pracuje nad tem, aby dla tego projektu zapewnić poparcie Ligi Narodów.**

O porozumienie krajów ościennych.

Paryż (PAT). Ag. Havasa donosi: „Temps" zastanawiając się nad sprawą rozbrojenia Niemiec, zwraca uwagę, że **koniecznem jest**, aby **kraje, położone między Polską a Niemcami, były zdolne do oporu w razie napaści bolszewickiej**. Dziennik jest zdania, że cel ten zostanie dopiero wtedy osiągnięty, jeżeli te kraje porozumieją się ze sobą. Wobec tego „Temps" wyraża zadowolenie z powodu możliwości zgody pomiędzy Litwą a Polską. **W razie, jeżeli Litwa i Polska pozostałyby sobie wrogami, terytoryum Polski byłoby nieustannie narażone na okrążanie ze strony Niemców lub bolszewików.** — Wskazanem więc jest, aby kraje te w myśl dawniejszych tradycyj odnowiły związek, odpowiadający ich obecnym interesom.

Kiedy Naczelnik Państwa wyjedzie do Paryża.

Warszawa (tel. M.). Dzisiaj **odbyła się konferencya między Naczelnikiem państwa a prezydentem ministrów Witosem w sprawie wyjazdu Naczelnika państwa do Paryża.** W kołach politycznych utrzymują, że **wyjazd ten przypuszczał nie nastąpi w połowie stycznia.**

Fakt, że z Naczelnikiem państwa wyjeżdżają ministrowie: spraw zagranicznych, spraw wojskowych i skarbu, daje miarę tego, o czem toczyć się będą narady paryskie.

Zwierciadło polityczne.

Zaproszenie do Paryża.

Kraków, 31 grudnia.

(n) Zaproszenie przez prezydenta Republiki francuskiej i przez rząd francuski naszego Naczelnika Państwa do Paryża — stanowi bez wątpienia jeden z najwybitniejszych faktów politycznych ostatniej doby. Zaproszenie prezydenta i rządu francuskiego wystosowane jest w formie bardzo uprzejmej, ale jednocześnie nacechowane jest także treścią wysoce polityczną. Telegram paryski podkreśla, że „wizyta ta, w mniemaniu rządu francuskiego, leżałaby w interesie obu państw“ i — „pozwoliłaby na wymianę poglądów w różnych ważnych sprawach“, czyli przedewszystkiem „ułatwiłaby przez przeprowadzenie rozmów bezpośrednich zawarcie umowy politycznej i ekonomicznej między Polską a Francyą.“

„Jesteśmy przeto — pisze „Gazeta Warszawska“ — w przededniu doniosłych układów międzynarodowych. Sądzić wolno, że sprawa ujęcia stosunku Polski do Francyi na podstawie uprzednich rokowań dyplomatycznych dostatecznie dojrzała, że chodzi teraz o usunięcie już tylko ewentualnych formalnych trudności przez osobiste porozumienie. Proponowany termin przyjazdu w styczniu świadczy, że rząd francuski uznaje dojście do skutku umów politycznych i ekonomicznych za rzecz pilną.

„Zbliża się zatem — konkluduje naczelny organ endecyi — moment decydujący dla przyszłości międzynarodowej i politycznej naszej Rzeczypospolitej. Sądzimy, że ścisły sojusz z Francyą będzie urzeczywistniony, że rząd polski do tego celu dążyć będzie z całą energią i zrozumieniem swej odpowiedzialności dziejowej. Wyjazdowi Naczelnika Państwa do miasta-światła towarzyszyć będą najgorętsze życzenia pomyślnych dla obydwóch narodów wyników narad.“

Zbliżony do endecyi „Kuryer Warszawski“ powiada, że cały „naród polski przyjmie z najwyższem zadowoleniem wiadomość o propozycyi francuskiej Dziś wszyscy już w Polsce są głęboko przeświadczeni, że przyjaźń francuska udziela trwałej i silnej rękojmi istnieniu i rozwojowi państwa polskiego. Z drugiej strony i dla opinii francuskiej staje się coraz oczywistszem, że Polska musi z samej natury swego położenia i swych interesów być bardzo poważnym współ-gwarantem nowego porządku rzeczy w Europie, ustanowionego po wielkiej wojnie.“

Buńczuczna i na Belweder niepoobywatelsku dotąd napadająca warszawska „Gazeta Poranna“ (Dwugroszówka) — pod wpływem telegramu prezydenta i rządu francuskiego bije w ton radości i tryumfu: „Rok kończący się — woła — zamyka Polska aktem politycznym pierwszorzędnego znaczenia: Prezydent Francyi zaprosił Głowę Państwa Polskiego do Paryża! Wizyty kierowników państw pociągają za sobą zawsze dalekie konsekwencye polityczne. Po wojnie światowej będzie to **pierwszy zjazd** głów państwa.“

Demokratyczny „Kuryer Polski“ przewiduje, że w ślad za zetknięciem się przedstawiciela Państwa Polskiego z najwyższymi czynnikami rządowymi Francyi nastąpią akty podobne w odniesieniu i do innych sprzymierzeńców. „Jesteśmy przekonani — wnioskuje „Kuryer Polski“ — że cel konkretny wizyty marszałka Piłsudskiego został określony **w najściślejszem porozumieniu** ze wszystkimi gabinetami zaprzyjaźnionych z Polską mocarstw. Porozumienie to jest przesłanką takiego rozwiązania najważniejszej dla nas kwestyi Wschodu europejskiego, jakie odpowiada interesowi państwowemu Polski i jej mocarstwowemu w Europie stanowisku, odbijającemu się we francuskiej podróży Naczelnika Państwa.“

„Kuryer Poranny“ wita również z radością zaprosiny francuskie. „Pierwszy rangą narodową — pisze — obywatel naszej Rzeczypospolitej lepsze, niż ktokolwiek inny, będzie mógł dać wyobrażenie sternikom demokracyi francuskiej o tem, co z sobą wniesie ton myśli polskiej, polskiego uczucia i polskiego czynu do akordu twórczej pracy, jaka czeka Europę dni jutrzejszych. Spokojni jesteśmy o wrażenie, jakie wywrze urok tej pięknej i szlachetnej postaci, którą Polska demokratyczna otacza czcią i miłością, na cudzoziemcach, karmionych dotąd nieraz najfałszywszą i najzłośliwszą o Polsce i jej przodownikach legendą.

„Odwiedzenie Francyi przez Marszałka Piłsudskiego będzie zapewne początkiem szeregu zetknięć Naczelnika Narodu i Państwa Polskiego z głowami innych państw sprzymierzonych i zaprzyjaźnionych z Polską. Niewątpliwie pociągnie ono za sobą i kolejne odwiedziny Naczelników tych państw w stolicy Rzeczypospolitej Polskiej“.

Te głosy prasy warszawskiej różnych obozów są wysoce pocieszające, nietylko przez swą treść, ale przedewszystkiem przez to, że biją jednym akordem, tchną tak rzadką jednomyślnością narodową i zbliżają do siebie wszystkie odłamy w jednem uczuciu.

„Czas“ krakowski słusznie więc podkreśla, że oferta francuska, poza ważnem znaczeniem nazewnątrz, posiada dla nas także doniosły walor wewnętrzny. Zwrócona jest do Prezydenta Piłsudskiego i w pochlebnych wyrazach podkreśla „popularność, jaką we Francyi cieszy się Naczelny Wódz armii polskiej“... „Jeśli zważymy, — pisze „Czas“ — że monopol dobrych stosunków z Francyą usiłowali dotąd — z wielką szkodą dla sprawy polskiej — skonfiskować dla siebie najzacieklejsi przeciwnicy Naczelnika Państwa, podkopujący w kraju jego znaczenie powoływaniem się na Francyę, to w uroczystem zaproszeniu marszałka do Paryża musimy upatrywać coś więcej, niżli konwencyonalną grzeczność. Widocznie Francya przekonała się o istotnem znaczeniu, jakie Piłsudski u nas posiada, wbrew rozgłaszanym insynuacyom i ze znaczeniem tem się liczy. Wyjdzie to tylko na korzyść i Francyi i Polski, jeśli legendy partyjne, które niestety za długo znajdowały posłuch we Francyi, zostaną złożone do rupieci.“

Z głosów prasy endeckiej, które przytoczyliśmy powyżej, można wnioskować, że istotnie „przeciwnicy marszałka Piłsudskiego“ porzucą odtąd swą szkodliwą przeciwko niemu robotę, że zrozumieją nareszcie, jaką tem szkodę wyrządzają Ojczyźnie.

Albowiem ta pierwsza podróż naszego Naczelnika do zaprzyjaźnionej stolicy wielkiego mocarstwa — to doprawdy jedna z najpotężniejszych dźwigni w sprawie wysunięcia Polski na przodujące na Wschodzie Europy stanowisko. Mając ścisły i konkretny sojusz polityczny, militarny i ekonomiczny z tak potężną duchem Francyą, — może Polska śmiało i zgodnie kroczyć do rozwoju i umocnienia swoich fundamentów.

O ile żyje się w Polsce taniej, niż w Ameryce!

Wywiad „Gońca Krakowskiego“ z Polakiem z za Oceanu.

(l.) Zdarza się bardzo często, iż w rozmowach, które prowadzimy tu, na starym świecie, a które od czasu wojny toczą się przeważnie i niemal jedynie na temat aprowizacyi i drożyzny, padają słowa: „Podobno w Ameryce wszystko jest bajecznie drogie?“, — bądź też: „Mówiono mi, że w Nowym Jorku nie można się niczego dokupić?...“ i t. p.

Aby zdać sobie sprawę z istotnego stanu rzeczy, zwróciliśmy się po informacye do osoby, przybyłej świeżo z za Oceanu. Szczegóły, uzyskane w tej interesującej sprawie, dowodzą, iż drożyzna w Ameryce wzrosła w sposób bardzo znaczny w stosunku do tamtejszych cen przedwojennych, dla ludzi zaś, przybyłych z Europy, drożyzna ta, połączona z niesłychaną dewaluacyą pieniądza europejskiego w stosunku do dolara, jest rzeczą wprost nieprawdopodobnie rujnującą.

Trzeba naprawdę żyć po tamtej stronie Atlantyku, aby zdać sobie sprawę z drożyzny Ameryki i z dewaluacyi siły kupna pieniądza europejskiego, a specyalnie już naszej upośledzonej marki.

Pierwsze pytanie, jakie zadałem memu interlokutorowi, było: Ile też Polak, mieszkający w hotelu, wyda obecnie w wielkiem mieście amerykańskiem, jak n. p. w Nowym Jorku?

Odpowiedź, jaką otrzymałem, brzmiała następująco:

— Przypuśćmy, że zamieszkuje on dobry, — choć nie luksusowy — hotel i bez robienia żadnych t. zw. „szaleństw“ żyje jednakże dostatnio. Codzienny jego budżet można rozłożyć następująco:

Pokój z łazienką (wszystkie bowiem pokoje mają swoją łazienkę) 5 dolarów.

Pierwsze śniadanie 1 dolar.

Obiad (lunch) 2 dolary.

Kolacya 3 dolary.

Jeden kurs autem 2 dolary.

Fotel w teatrze lub na koncercie 3 dolary.

Razem 16 dolarów.

Jeden dolar równa się 600 marek polskich, a zatem suma ogólna wypadnie na **9'600 marek polskich.**

Należy zwrócić uwagę, że rodak nasz musi być bardzo ostrożny w Ameryce z posługiwaniem się autami i winien ograniczyć się o ile możności do używania kolei podziemnej, która kosztuje 5 centów, bądź też autobusu, w którym płaci się 10 centów (54 marek polskich).

Pewnego wieczoru, — powiada mój interlokutor, — byłem na tyle lekkomyślny, iż odwiozłem po teatrze autem do domu pewną Amerykankę; przyjemność ta kosztowała mnie 6 dolarów, czyli 3.600 marek polskich, bez napiwku.

Tak to Polak, chcący zabawić się w gentlemana na nowym świecie, musi opłacać bajeczną frycówkę.

Jeżeli przybysz z Polski jest amatorem automobilizmu, niechajże uda się do Eldorado, którego wężem-kusicielem jest pan Ford... Malutkie jego auto kosztuje 400 dolarów, to znaczy ni mniej, ni więcej tylko 240.000 marek.

A benzyna? Standard Oil pana Johna Rockefellera dostarcza jej po 30 centów galon, a więc tylko... 162 marek. O ile nie lubisz, człecze, prowadzić sam swego auta, znajdziesz szofera, którego płacić będziesz 100 dolarów miesięcznie, zatem 60.000 marek, poza tem musisz mu dać mieszkanie i wyżywienie. Automobil nie należy po tamtej stronie kuli ziemskiej do żadnych osobliwości. Przed teatrem n. p. w Saint Louis, teatrem, mogącym pomieścić 2000 widzów, co wieczora 1500 automobili ustawia się ukosem, aby nie zajmować zbyt wiele miejsca, wzdłuż trotuarów nieskończenie długiej „avenue“. — Gdzieindziej statystyka jest jeszcze bardziej wymowna: oto w Kalifornii lub w stanie Jowa wypada jeden automobil przeciętnie na pięciu mieszkańców!

Interesująco przedstawiają się ceny ubrań i obuwia. Fantastyczne depesze donosiły niejednokrotnie do Europy, iż miliarderzy amerykańscy, chcąc zamanifestować przeciwko wyzyskowi krawców, przywdziewają strój proletaryusza. Można było z tego przypuszczać, że cena ubrań męskich jest istotnie niedostępna. Tymczasem za wystawami krawców przy słynnej Broadway widzi się masę ubrań męskich, robionych na specyalne zamówienie, znaczonych ceną 50 dolarów, co tam nie jest bynajmniej ceną zbyt wygórowaną, co jednak przemienione na naszą monetę, wynosi 30.000 marek. Para butów kosztuje w Ameryce około 1.800—2000 marek, para bawełnianych skarpetek 10 tamtejszych centów, czyli 54 marek, za męską koszulę jedwabną płaci się 5 dolarów, t. j. 3000 marek.

Dwie jednak rzeczy są rujnujące dla Amerykanina w Nowym Jorku: jego żona i mieszkanie. Toalety damskie są istotnie w Stanach Zjednoczonych bezbrzeżnie kosztowne, a ceny mieszkań wkraczają w sfery wprost nieprawdopodobne. Oto obok 5 Avenue, rezydencyi milionerów, jest ulica mocno arystokratyczna „w dobrym tonie“ t. zw. Park Avenue. W jednym z nowych 20-piętrowych domów przy tej ulicy, liczących około 600 mieszkań, mieszkanie, złożone z 6 pokoi, łazienki i t. d., kosztuje 10.000 dolarów rocznie, a więc... 6,000.000 marek.

POGADANKA NAUKOWA.

Tajemnica piramidy Cheopsa.

Profesor R. Hennig ogłasza w wydawnictwie „Ueber Land und Meer“ ogromnie ciekawe wyniki badań nad strukturą wielkiej piramidy Cheopsa. Jak wiadomo, piramida ta nie była zapewne grobowcem, — nie natrafiono w niej na żaden ślad sarkofagu mumji czy też jakiegokolwiek sprzętu pogrzebowego. Natomiast stanowi ona

monumentalne świadectwo wiedzy matematycznej i astronomicznej

ludzi, żyjących około 2300 lat przed narodzeniem Chrystusa i wprawia nas w zdumienie wynikami badań, osiągniętymi już wówczas. Długi, zbiegający ku dołowi w głąb piramidy korytarz w przedłużeniu swojem trafia dokładnie na miejsce sklepienia niebieskiego, w którem znajduje się ta gwiazda z konstelacyi Smoka, jaka

w chwili budowania piramidy była gwiazdą polarną — jednem słowem **kierunek korytarza wytycza położenie bieguna nieba.**

Również kierunek czterech krawędzi piramidy odpowiada z całą dokładnością czterem stronom nieba. Najbardziej jednak ciekawe i zdumiewające wyniki osiągnęli dwaj Anglicy, Piazzi Swyth i John Taylor. Piramida, która dziś posiada 146 metrów wysokości, w momencie ukończenia budowy wzniosła się na 147'8 metrów skutkiem czego obwód podstawy wynosił wówczas 928'64 metrów. Natomiast stosunek jego do wysokości odpowiada w zupełności stosunkom każdego promienia koła do obwodu tegoż koła i to z dokładnością pięciu znaków dziesiętnych po przecinku. A więc

sławna liczba „pi“,

która dopiero w nowszych czasach ustalona została, jako stosunek średnicy do obwodu koła, znana była kapłanom egipskim 40 wieków temu i to zdokładnością 3.14150. Piramida Cheopsa przedstawia jednak jeszcze ciekawszą tajemnicę. Jeżeli bowiem zakreślić koło o promieniu, równym jej wysokości i podzielić jego okręg na tyle części, ile dni jest w roku astronomicznym, to otrzyma się jednostkę miary, która znajduje zastosowanie we wszystkich elementach tej budowli, a jako „metr piramidy“, złożona była w komnacie królewskiej jej wnętrza. Otóż ta jednostka miary odpowiada znów z całą dokładnością jednej dwudziestomilionowej części dłu gości ziemskiej osi.

Powstaje więc pytanie, w jaki sposób przed 4000 lat, w czasach, kiedy nie znano jeszcze dokładnie powierzchni ziemi, ani jej kształtu, mogła być już znana długość ziemskiej osi? Piramida Cheopsa gotuje jednak jeszcze jedną niespodziankę. Jeżeli bowiem odszukać na ziemi południk i równoleżnik, które na swej drodze spotykają największą przestrzeń lądu, a najmniej płaszczyzny wodnej, to znajdziemy 30 sto pni północnej szerokości, oraz 31 stopni wschodniej długości od Greenwich. Otóż **przecięcie tych dwóch linij następuje właśnie w pobliżu Kaira i to w tem miejscu, gdzie wzniosi się piramida Cheopsa.**

Oba ostatnie fakty wyglądają na przypadkowy zbieg okoliczności, — ale też i trudno uwierzyć w tak wyjątkową zbieżność.

Piramida Cheopsa pozostaje więc nadal zagadką, uśmiechem sfinksa zdająca się świadczyć o zamierzchłej kulturze i wiedzy kapłanów egipskich, którzy nie chcieli zapewne wyjawiać swych zdobyczy naukowych, sprzęcznych z panującym kultem religijnym, ale przekazali ją przyszłości w formie wielkiej, osłonionej tajemnicy.

ZYGZAKI.

Narzeczona w zastawie.

(m-m) Znaną powszechnie jest opera „Sprzedana narzeczona“. Obecnie jakiś autor mógłby napisać farsę p. t. „Narzeczona w zastawie“, czerpiąc pomysł z wypadku, o którym opowiadają pisma kopenhaskie.

Pewien subjekt sklepowy w Kopenhadze miał zainkasować z polecenia swego szefa 800 koron. Sumę tę wypłacono mu istotnie, ale poczucie, że jest chwilowym posiadaczem tak wielkiej kwoty (800 koron duńskich — to nie to samo, co 800 marek polskich!) — nie wyszło mu na dobre. Udał się do młodej i urodziwej panienki, znanej mu już od dłuższego czasu i zaproponował jej wycieczkę do Sztokholmu. Ale ostateczni 800 koron, nawet duńskich — to nie majątek, — stopniały więc szybko i nie było czem zapłacić rachunku w hotelu. Młoda dama musiała zatem pozostać w Sztokholmie „na zastaw“, a adorator powrócił do Kopenhagi, aby się postarać o pieniądze. Tutaj wszakże oczekiwała go policya. Młodzieniec poprosił, aby przynajmniej wykupiono z hotelu jego „narzeczoną“ i to jak najprędzej, bo rachunek hotelowy rośnie z dniem każdym. Policya ulitowała się nad zastawioną narzeczoną i uwolniła ją. Natomiast narzeczony znalazł się w więzieniu, za przywłaszczenie sobie pieniędzy szefa.

MIGAWKI KRAKOWSKIE.

Szał Sylwestrowy w Krakowie.

„Noc Sylwestrowa“, „Kabaret Sylwestrowy“, „Wielka rewia“, „Noc noworoczna“, „Wielka zabawa Sylwestrowa“ — obwieszczają komunikaty, wrzeszczą różnokolorowe afisze. Krakowia nic podają sobie z ust do ust...

Uciech i zabaw sylwestrowych — na powitanie Nowego Roku co niemiara...

Istny szał sylwestrowy...

I to wszystko na powitanie Nowego Roku... Ileż starych monologów zostanie wygłoszonych — ileż starych piosnek kabaretowych usłyszy po raz setny żądna zabawy publiczność, ileż pęknie butelek fałszowanego wina, ileż cnót niewieścich ulegnie czarowi tej niebezpiecznej nocy...

A czyż ten Nowy Rok zasłuży sobie istotnie na to, aby go witać tak radośnie, tak uroczyście i tak kosztownie?... Czyż niesie nam dary jakieś, po które warto wyciągnąć ręce...

Na razie wiemy już napewno, że zapowiada nam podwyżkę czynszów, biletów tramwajowych, elektryczności, mąki i cukru...

Bądź pozdrowion, Roku 1921! — mający płacić Krakowianie witają cię!... **Mir.**

Chwila bieżąca.

Kalendarzyk:

Św. Sylwestra p.

Wschód słońca: 8'39.

Zachód słońca: 3'48.

Długość dnia: 7'38.

Piątek **31** Grudnia

TEATR IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Piątek: „Żołnierz królowej Madagaskaru“.
Sobota popoł.: „Betleem polskie“.
Sobota wieczór: „Tragedya Eumenesa“.
Niedziela popoł.: „Betleem polskie“.
Niedziela wieczór: „Żołnierz królowej Madagaskaru“.

TEATR POWSZECHNY

Piątek: „Przewodnik Tatrzański“.
O godz. 11 wieczór: „Noc Sylwestrowa“.

TEATR „BAGATELA“

Piatek o godz. 7.30 i 11: Wieczory Sylwestrowe
Sobota popoł.; „Magdalenki“.
Wieczór: o wpół do 8 „Powódź“. o 11 „W noc noworoczną“.
Niedziela popoł.: „Dobrze skrojony frak“.
Wieczór: „Moralność pani Dulskiej“.

OPERETKA W NOWOŚCIACH

Piątek o godz. wpół do 8: „Rok 1920“ rewia; o godz. wpół do 11: „Noc sylwestrowa“.
Sobota popoł.: „Figlarne żonki“.
Wieczór: „Rok 1921“ rewia.
Niedziela popoł.: „Prymas cyganów“.
Wieczór: „Tam gdzie skowronek śpiewa“.

WYKŁADY W DOMU ARTYSTÓW (Plac św. Ducha) w zarządzie krakowskiego Związku literatów.

Niedziela, Jan Pietrzycki: „Kolendy. jasełka i szopki satyryczno-literackie w Polsce“. (Ilustracya muzyczna pod batutą prof. Bol. Walewskiego).

KOLLEGIUM WYKŁADÓW NAUKOWYCH (RYNEK GŁÓWNY. LINIA A—B. L. 39).

Sobota prof. dr J. Reiss: „Twórczość Schuberta“ (z ilustr. muz.).

— o —

Czeskie plotki.

(m-m) Czeska prasa od pewnego czasu lansuje tendencyjnie pogłoski o rzekomem porozumieniu się Polski i Węgier celem wspólnego zaatakowania Czechosłowacyi. W jednym z ostatnich numerów „Czeskie Słowo“ donosi, że polski sztab generalny prowadzi obecnie rokowania z przedstawicielami węgierskiej wojskowości o przygotowanie wspólnej akcyi zbrojnej przeciwko Czechosłowacyi. Polska zamierza zająć całe terytoryum Śląska Cieszyńskiego, akcyę tę zaś zamierza przyspieszyć ze względu na spodziewane w Galicyi Wschodniej powstanie (?!).

Oczywiście puszczanie w świat tego rodzaju plotek — ma na celu urabianie wśród państw koalicyi niechętnego dla Polski usposobienia.

—ooo—

Czeskie umowy handlowe.

Jak podaja dzienniki czeskie dnia 11-go stycznia przybędą do Pragi delegaci rządu rumuńskiego dla wdrożenia rokowań o zawarcie umowy handlowo-politycznej. Z końcem stycznia mają się rozpocząć rokowania handlowe z delegacyą węgierską. Berneńskie „Lidove Noviny“ podają, że w najbliższym czasie wyjedzie do Warszawy delegacya rządu celem podjęcia rokowań o zawarcie umowy handlowej z Polską.

— o —

Czesi mają otrzymać Marmarosz-Sziget.

Z Pragi donoszą. Potwierdza się tu wiadomość, że Czechosłowacya ma otrzymać Marmarosz Sziget. Rumunia otrzymałaby jako kompensatę obszar między Ralmy i Kiraly Haza.

Unieruchomienie czeskiego przemysłu chem. i szklanego.

Z Pragi donoszą. Cały przemysł chemiczny i szklany został unieruchomiony z powodu braku węgla.

Sowiet Marchlewskiego w Kijowie.

Gazety zagraniczne donoszą, że Marchlewski, członek sowietu polskiego w Moskwie, wyjechał do Kijowa, gdzie ma zamiar przenieść cały „sowiet polski“. Również przenosi się do Kijowa z Mińska rząd przy armii czerwonej na Białorusi, który się tworzy przy pomocy rządu moskiewskiego. Rząd moskiewski zamierza ulokować w Kijowie wogóle wszystkie organizacye „zagraniczne“. Sowiet rumuński rezyduje już w Kijowie od września.

Rosya sowiecka wprowadza ordery.

(m-m) Na 8-ym kongresie sowietów ustanowiono bolszewicki order „Czerwonego Sztandaru“ za specyalne zasługi cywilne. Zapewne wkrótce usłyszymy o stworzeniu tytułów „czerwonego barona“ lub „czerwonego kniazia“.

— o —

Rokowania węgiersko-rosyjskie w sprawie jeńców.

Z Moskwy podaje Wied. B. Kor.: Węgierski minister spraw zagranicznych Teleky wystosował do Cziczerina notę, w której zastrzega się przeciwko temu, by oficerów węgierskich, znajdujących się w niewoli, zatrzymywano jako zakładników wzamian za węgierskich komisarzy ludowych i komunikuje, że rząd węgierski gotów jest rozpocząć rokowania w sprawie zasądzonych onegdaj w Budapeszcie komisarzy ludowych, aby w ten sposób położyć kres cierpieniom jeńców węgierskich w Rosyi. Nota wzywa rząd rosyjski, aby ustalił czas i miejsce, do którego przybędą jego przedstawiciele celem rokowań.

Skazanie hr. Markiewicz.

Z Dublina donoszą: Irlandzka działaczka hr. Markiewicz, oskarżona o udział w spisku celem mordowania żołnierzy angielskich i policyantów, została skazana na dwa lata robót przymusowych.

(x) **ZAKOŃCZENIE STAREGO ROKU.** Dzisiaj wieczorem we wszystkich kościołach krakowskich odbędą się uroczyste nabożeństwa z okazyi zakończenia starego roku.

(x) **ZAŻEGNANIE STRAJKU W ELEKTROWNI MIEJSKIEJ.** Na skutek komunikatu organizacyi robotników elektrowni miejskiej prezydyum miasta zwołało konferencyę na wczoraj, złożoną z przedstawicieli organizacyi robotników elektrowni i gazowni m. i klubu radców socyalistycznych. Na konferencyi tej prezydyum złożyło oświadczenie i zobowiązanie, że do dnia 31 stycznia 1921 przeprowadzi stabilizacyę robotników zatrudnionych w elektrowni i gazowni miejskiej. Wobec tego robotnicy postanowili nie zastanawiać pracy.

DAWNA SZOPKA Z CZASÓW WOLNEGO MIASTA KRAKOWA będzie odegrana na „czarnej kawie“ Syndykatu dziennikarzy krakowskich w niedzielę 2 stycznia o godz. 4 popołudniu w „Udziałowej“. Współudział przyjęli pp.: dyr Turski (wygłosi tekst), chór dziecięcy (kolędy), lalki (rzeźba p. Beringer Wilczyńskiej

WIECZÓR SYLWESTROWY W TEATRZE IM. J. SŁOWACKIEGO. Wobec olbrzymiego powodzenia jakie spotkało wieczór Sylwestrowy teatru im. J. Słowackiego postanowili inicyatorzy powtórzyć go w dzień Nowego Roku z tym samym programem. Początek o godz. 11 w nocy. Wieczór ten oprócz solowych produkcyi, monologów i kapitalnych występów artystów w najdziwniejszych rolach, zawiera także 1-aktówkę pt. „Strach przed kijem" J. Courteliona, szopkę satyryczną p. J. Migowej pt. „Twardowski w Krakowie". Conferencierem będzie p. Z. Nowakowski. Bilety w kasie, w pasku i w ogonku.

DZIŚ W SYLWESTRA W SALI „SOKOŁA" odbędą się **dwa wielkie wieczory kabaretowe** z udziałem pierwszorzędnych artystów scen krakowskich oraz znanych humorystów: **Kalicińskiego, Wyrwicza i Turskiego.** Pierwszy wieczór odbędzie się o godzinie w pół do ósmej, drugi o godzinie 10 w nocy. Bilety zarówno na noc sylwestrową, jak też i pierwszy wieczór są jeszcze do nabycia u J. Rudnickiego Linia A—B, oraz od godziny 6 wieczór przy kasie w „Sokole".

WIELKA ZABAWA TANECZNA pod kierownictwem baletmistrza Eugeniusza Koszutskiego odbędzie się dziś w Noc Sylwestrową w „Sokole" o godzinie 12.30 w nocy. Bilety do nabycia od godziny 9 wieczór przy kasie w „Sokole".

SYLWESTER LITERACKI" na dochód funduszu zapomogowego krakowskiego Związku literatów dziś (piątek) o godz. 11 wieczór w sali hotelu Pollera. Wytworny program artystyczny.

O KOLENDACH, jasełkach i szopkach satyryczno-literackich w Polsce wygłosi prelekcyę Jan Pietrzycki w niedzielę, 2 stycznia o godz. 8 wieczór staraniem Związku literatów w Domu artystów (plac św. Ducha). Prelekcyę zilustruje kolendami (począwszy od staropolskich pastorałek aż do nowoczesnej kolendy artystycznej) chór męski pod batutą prof. Bolesława Walewskiego.

ZABAWĘ NOWOROCZNĄ połączoną z konkursem piękności dla pań i brzydoty dla panów, i pocztą urządza Stow. Ekspedyentów dziennikarskich w Krakowie w sobotę 1 stycznia 1921 r. w sali Związku Stow. robotniczych przy ul. Dunajewskiego 5, II p. Początek o godz. 8 wieczór. Wstęp 35 marek. Zaproszenia wydaje się codziennie od 7 do 8 wieczorem, Dunajewskiego 5, III p.

WALNE ZGROMADZENIE STOW. KATOL. STRÓŻÓW odbędzie się 2 stycznia o godz. 5 popoł. przy ul. Zwierzynieckiej l. 7. Ł

ZBIÓRKA NA POGOTOWIE. Magistrat zezwolił krakowskiemu ochotniczemu Towarzystwu ratunkowemu na urządzenie w dniach 31 grudnia 1920 i 1 stycznia 1921 r. zbiórki pieniężnej na rzecz utrzymania **Pogotowia ratunkowego,** przy stolikach ustawionych w większych lokalach publicznych jak teatrach kawiarniach, restauracyach i hotelach, oraz po ulicach miasta przy pomocy 4 wozów Towarzystwa ratunkowego. Wzywa się publiczność, aby składając ofiary kwestarzom, żądała kartek bloczkowych opatrzonych stampilią kwestującego Towarzystwa i wyrażoną na nich kwotą, odpowiadającą kwocie ofiarowanej, a żadnych naddatków nie płaciła.

NA GÓRNOŚLĄZAKÓW. Przy sposobności obchodu wspólnego opłatka w „Sokole" krakowskim w dn. 29 bm. złożono z inicyatywy wiceprez. Józefa Góreckiego kwotę 5.609 marek 50 fen. na cele plebiscytu górnośląskiego i kwotę tę odesłano do Towarzystwa obrony kresów zachodnich.

(x) **W SĄDZIE WOJSKOWYM** przy ulicy Montelupich odbyło się wczoraj kilka rozpraw. Szeregowiec 20 pp. Emil Poprawski za kradzieże popełnione w czasie służby wojskowej na szkodę osób cywilnych, został skazany na dwa lata ciężkiego więzienia z obostrzeniem. Szer. 20 pp. Alfred Berdziakiewicz, karany już kilkakrotnie, złodziej nałogowy, skazany został znowu za kradzież na 3 lata ciężkiego więzienia z obostrzeniem i wydalenie z wojska. Wreszcie za dezercyę skazano ułana 6 p. Józefa Maziarza i szer. 28 p strzelców kaniowskich Chaima Lipszyca każdego na 1 rok więzienia.

(x) **Z KRONIKI POLICYJNEJ.** Za systematyczne okradanie swej chlebodawczyni Anny Schwarge ul. Długa 41, aresztowano służącą Amalię Poradównę lat 24 z Rudawy. Część skradzionych rzeczy odebrano.

Aresztowano Józefa Bruzdę, który na dworcu kolejowym usiłował okraść śpiącego żołnierza Franciszka Dąbrowskiego.

(x) **O KRADZIEŻ.** W krakowskim sądzie okręgowym karnym przed ławą przysięgłych odbyła się wczoraj rozprawa przeciwko Kazimierzowi Sermakowi lat 15, oskarżonemu o liczne kradzieże bielizny i garderoby na szkodę rozmaitych gospodarzy wiejskich w okolicy Krakowa oraz Chrzanowa. Kradzieży obwiniony dopuszczał się w towarzystwie licznej bandy młodocianych złodziei, którzy częścią zostali już skazani, częścią zaś ukrywają się przed policyą. Po przeprowadzonej rozprawie Trybunał skazał Sermaka na dwa lata ciężkiego więzienia z obostrzeniem.

(x) **KRADZIEŻE MASZYN.** W ostatnich czasach kradzieeż maszyn do pisania w Krakowie przybrały niepokojące rozmiary. Między innemi skradziono dwie maszyny w biurach opieki społecznej (plac WW. Świętych); dokonano nadto kradzieży maszyn do pisania w kilku kancelaryach adwokackich oraz biurach wojskowych. Sprawców dotychczas nie wykryto i maszyn nie odnaleziono, co budzi podejrzenie, że jest tu czynną jakaś zorganizowana szajka złodziejska, która te maszyny wywozi z Krakowa. Wskazanem więc jest, aby policya zwróciła na to baczniejszą uwagę i rozciągnęła ścisłą kontrolę na dworcach kolejowych i na rogatkach, gdyż ta bezkarność zachęca złodziei do dalszych kradzieży. Ograniczenie się urzędu bezpieczeństwa do przyjmowania do wiadomości tych kradzieży nie wyczerpuje jego zakresu działania. Albowiem tak władze, jak i okradzeni obywatele mają prawo do intensywniejszej opieki ze strony policyi.

(x) **NAPAD RABUNKOWY.** Dnia 27 bm. rano między godz. 6 a 7 Andrzej Szczypczyk lat 18 robotnik zamieszkały w Dębnikach napadł na drodze polnej w Zakrzówku an Tadeusza Dudka terminatora szewskiego z okrzykiem: Dawaj pieniądze, bo cię uszlachcę. Przeszukał następnie kieszenie Dudkowi, rozdarł marynarkę i zabrał mu niesioną bieliznę i artykuły spożywcze, poczem zbiegł. Tego samego dnia Szczypczyk został aresztowany.

—o—

John D. Rockefeller pod sądem.

Pokuta za fałszywe dane co do majątku.

Jeden z najbogatszych ludzi na świecie, archimiliarder amerykański John D. Rockefeller postawiony został przez władze amerykańskie w stan oskarżenia.

Ten magnat nad magnaty oskarżony jest o to, iż w deklaracyi co do określenia wysokości podatku dochodowego starał się wprowadzić w błąd skarb amerykański podając fałszywe dane co do swego stanu majątkowego.

—ooo—

Tajemnicza moc Johny Coulona sztuczką zręczności!

(m-m) Aureola tajemniczej, niezrozumiałej mocy zdobiąca głowę boksera Johny Coulona zaczyna powoli blednąć i rozwiewać. to pod pretekstem zbytniego zmęczenia wycofał się z próby, jakiej miał dokonać jeden z najsilniejszych ludzi świata Maurycye Dernaz, który założył się o 2.000 franków, że podniesie Coulona.

Głośno mówią już o tem, że tajemnicza moc Johny Coulona jest niczem jak tylko sztuczką zręczności, polegającą na tem, że przybiera on pozycyę uniemożliwiającą podniesienie ciężaru.

Sekret ten został już właściwie zdemaskowany bo na estradzie jednego z paryskich music-hallów popisują się rywale Johny Coulona, a wśród nich znajduje się nawet kobieta.

Nowe książki.

„POLAK", kalendarz historyczno-powieściowy na r. 1921, rocznik XIV. Po kilkoletniej przerwie, spowodawanej wojną, ukazał się znowu jeden z czterech znanych i popularnych w Małopolsce kalendarzy Wojnara. Kalendarz zawiera bardzo bogatą i urozmaiconą treść, ozdobioną przeszło 70 ilustracyami i barwną okładką, tudzież pięknemi winietami przy kalendaryum, symbolizującemi zjednoczenie Polski.

Z pośród licznych i zajmujących opowiadań historycznych, nowel, wierszy (Konopnickiej, Żdzisława Dębickiego, Kurasia) wymienimy najważniejsze artykuły: „Polska, jej ziemie, najważniejsze grody i ludy" (z mnóstwem rycin), „Polska — krainą zboża" przez St. Kutrzebę, prof. Uniw. Jagiellońskiego, „Co warte własne państwo?" przez tegoż, „Wielka wojna i jej znaczenie dla świata i Polski" przez Kaspra Wojnara, „Autonomiczne Województwo Śląskie", według dziełka dra Mieczysława Jarosza itd. Prawdziwą ozdobę kalendarza stanowi cykl Artura Grottgera p. t. „Wojna" (11 obrazów) w artystycznej reprodukcyi.

Przewodnią myślą całego wydawnictwa jest zapoznanie braci Górnoślązaków z całą Polską i całej Polski z Górnym Śląskiem i jego skarbami, aby tym sposobem przyczynić się do zjednoczenia duchowego i politycznego tej prastarej dzielnicy polskiej z Rzecząpospolitą. Kalendarz Wojnara jest naprawdę piękny i pożyteczny, powinien więc być szeroko rozpowszechniony.

Ruch giełdowy.

Kraków, 31 grudnia.

(4) Szał zwyżkowy na giełdzie krakowskiej ogarnął wszystkich uczestników. Zwyżka jest wprost nieprawoopodobna, a rozpoczyna się od 400 punktów aż do 6500 na sztuce.

Najgwałtowniejszą zwyżkę osiągnęło „Tepege", za którą płacono 12.000, podczas gdy onegdaj kurs tych akcyj wynosił 8500.

Drugim papierem, który osiągnął równie wysoką zwyżkę, to „Siersza" (zakł. górn.). Płacono za nie 6900, — tak więc zwyżka wynosi 2300 punktów.

Z innych faworytami były „Parowozy", „Krakus" (4000), „Trzebinia" (żelazo), „Polski Glob" i inne.

Papiery handlowe również silne.

Z akcyj bankowych nabywano „Polski Bank przemysłowy" po 660.

Waluty i dewizy silniejsze w stosunku do marki polskiej. Za marki płacono 900, za dolary 620.

Waluty i dewizy: Dolary Stanów Zjedn. gotówka 560, 620, czeki 560, 620. Franki francuskie gotówka 33, 35. Marki niemieckie gotówka 850, 900, czeki 900, 950. Korony austryackie gotówka 90, 100, czeki 95, 105. Korony czesko-słowackie gotówka 730, 770, czeki 740, 780. Lei rumuńskie gotówka 7'50, 8. Liry włoskie gotówka 21, 23.

Akcye Tow. handl. i przem.: Polskie Tow. handl. („P. T. H.") ofiar. 825, żąd. 925, transakc. 850—950. Handl. Spółka akc. „Impex" ofiar. 525 żąd. 625, transakc. 550—600. „Polski Glob" Tow. transportowo-handl. ofiar. 3300, żąd. 3600, transakc. 3100—3600. Zieleniewski ofiar. 6400, żąd. 7300, transakc. 6400—7250. Warsz. Spółka akc. budowy parowozów ofiar. 10000, żąd. 11000, transakc. 10500. „Lemiesz" fabryki maszyn rolniczych ofiar. 6200, żąd. 6400. „Trzebinia" fabryka maszyn i narzędzi roln. ofiar. 3500, żąd. 4000, transakc. 3450—3900. „Automotor" fabryka samochodów ofiar. 2900, żąd. 3100, transakc. 2900—3100. „Górka" fabryka cementu ofiar. 6500, żąd. 7100, transakc. 6500—7100. Galic. akc. Zakłady górn. Siersza ofiar. 6100, żąd. 6900, transakc. 6100—6900. „Tepege" Tow. dla przedsięb. górniczych ofiar. 10000, żąd. 12000, transakc. 9700—12000. Polska Nafta ofiar. 4600, żąd. 5000, transakc. 4950—4650. Elektrownia w Sierszy ofiar. 6100, żąd. 6400, transakc. 6100—6400. „Oikos" T. A. ofiar. 4600, żąd. 4800, transakc. 4700. „Pezet" Powszechne zakłady budowl. ofiar. 2000, żąd. 2200, transakc. 2150. Fabryka przetworów tłuszcz. w Trzebini ofiar. 3500, żąd. 3900, transakc. 3500—3900. „Krakus" Zjedn. fabryki przetworów wyskokowych ofiar. 3600, żąd. 4000, transakc. 3600—4000.

Lwów (PAT). Giełda lwowska: Ruble carskie po 500 390—420, ruble dumskie po 1000 90—100, dumskie po 250 80—100. Franki francuskie 35'50—37, szwajcarskie 94—99. Funty szterlingi 2100—2200. Dolary amerykańskie 560—620, kanadyjskie 460—500. Marka niemiecka po 1000 800—850, po 100 700—750, drobne 650—700. Leje rumuńskie po 250 800—900, drobne 700—800. Korony czeskie 720—780. Korony austryackie 100—110. Franki belgijskie 37'50—39. Korony szwedzkie 116—124, duńskie 93—98, norweskie 95—100. Marka fińska 1400—1600. Floreny holenderskie 186—196. Czeki: Londyn 2100—2200, Paryż 35'50—37, Zurych 94—99, Praga 720—780, Wiedeń 100—110, Berlin 800—850, Nowy Jork wyżej 50 560—630, Bukareszt 800—900, Bruksela 37'50—39, Kopenhaga 93—98, Finlandya 17—19, Holandya 186—196, Szwecya 116—124, Norwegia 95—100.

Warszawa (tel. M.). Na dzisiejszej giełdzie warszawskiej obroty były ograniczone, lecz tendencya mocna do wszystkich akcyj się utrzymała. Akcye bankowe w słabym ruchu. Listy zastawne kiepskie. Listy miejskie bez zmiany. Ruble dosięgnęły wczorajszego kursu.

Zurych (PAT). Końcowe kursa dewiz: Berlin 8'97 i pół, Nowy Jork 658, Medyolan 22'15, Praga 7'40, Zagrzeb 4'10, Budapeszt 1'15, Bukareszt 8'10, Warszawa 1'05, Wiedeń 1'55, austryacka korona stemplowana 1'10.

NADESŁANE.

TELEGRAMY.

O lokomotywy z Ameryki.

Warszawa (PAT). „Przegląd Wieczorny" podaje: W swoim czasie rząd polski kupił we fabryce lokomotyw Baldwina we Filadelfii 150 lokomotyw. Obecnie toczą się rokowania z przedstawicielem firmy Baldwin, p. Morsem, o nabycie dalszej partyi lokomotyw, za które Polska zapłaci ropą.

Amerykańska żywność dla dzieci.

Warszawa (PAT). W styczniu za pośrednictwem amerykańskiego wydziału ratunkowego nadejdzie żywność dla dzieci: w Białymstoku i okolicy na 18 tysięcy dzieci, w Brześciu i okolicy dla 12 tysięcy dzieci, w Krakowie i okolicy dla 20 tysięcy dzieci, w Chełmie i okolicy dla 13 tysięcy dzieci, w Częstochowie i okolicy dla 16 tysięcy dzieci, w Kowlu i okolicy dla 29 tysięcy dzieci, we Lwowie i okolicy dla 20 tysięcy dzieci, w Łodzi i okolicy dla 40 tysięcy dzieci, w Mińsku i okolicy dla 15 tysięcy dzieci, w Siedlcach i okolicy dla 20 tysięcy dzieci, w Pińsku i okolicy dla 15 tysięcy dzieci, w Sosnowcu i okolicy dla 15 tysięcy dzieci, w Warszawie dla 100 tysięcy dzieci.

Sprawa złota na konferencyi pokojowej.

Podpisanie pokoju spodziewane w pierwszej połowie stycznia.

Warszawa (tel. M.). Prasa warszawska, powołując się na doniesienia dzienników angielskich, występuje przeciwko fałszywym pogłoskom i podkreśla poglądy tych dzienników, które się spodziewają, że **w pierwszej połowie stycznia roku nadchodzącego przyjdzie do podpisania pokoju. Najwięcej trudności sprawia teraz porozumienie w sprawie złota.** Nie ulega wątpliwości, że obaj przewodniczący delegacyj pokojowych znajdą jakiś sposób załatwienia tej kwestyi spornej, ponieważ **wojna o złoto byłaby absurdem.** Po załatwieniu tej kwestyi **wszystkie inne różnice zdań mogłyby mieć znaczenie tylko drugorzędne.** Rząd bolszewicki, zawarszy pokój z Polską, przystąpi do wysprzedaży Rosyi na rzecz kapitalizmu zagranicy.

Rząd sowiecki nie da się utrzymać.

Ludendorff przeciw sojuszowi z sowietami.

Warszawa (tel. M.). Generał Ludendorff oświadczył w wywiadzie dziennikarskim, że **wojna odwetowa Niemiec wraz z sowietami przeciwko entencie jest niemożliwa.** Trocki okazał się genialnym administratorem, jednakże **rząd sowiecki nie da się utrzymać.** Idea wspólnej walki Niemiec i Rosyi przeciwko Polsce jest popieraną przez nacyonalistów niemieckich. **Ludendorff jednak jest przeciwny wszelkiemu sojuszowi z sowietami.** Prócz tego Rosya nie posiada materyału wojennego w dostatecznej ilości, co spowodowało jej klęskę w walce z Polską. Ludendorff uważa nadto, że **odbudowa ekonomiczna Europy** może być oparta jedynie na ścisłem porozumieniu Niemiec z odrodzoną Rosyą.

Reakcyjna propaganda w Europie środkowej.

Ludendorff organizuje nowe przewroty w Europie. — Kombinacye niemiecko-rosyjskie.

Paryż (Wied. Biuro koresp.). (PAT). Pisma tutejsze donoszą za pismami londyńskiemi o propagandzie reakcyjnej w Europie Środkowej, rozwiniętej po zamachu Kappa. Według tego **generał Ludendorff powołał komitet akcyjny, który zajął się werbowaniem oddziałów cudzoziemców, które miały być użyte do obalenia formy rządu w Europie Środkowej.**

Pierwszy atak skierowany miał być przeciwko Austryi i w tym celu miano wspomniane oddziały przesunąć na południe. Atak na Austryę miał nastąpić w listopadzie, a najdalej na wiosnę. Także kontrrewolucyoniści rosyjscy i węgierscy mieli współdziałać. Dnia 13 maja przybył do Budapesztu pułkownik Trabicz i nakłonił po dłuższej konferencyi Horty'ego do udziału w tej kombinacyi niemiecko-rosyjskiej.

Ultimatum ententy do Niemiec.

O termin rozbrojenia Einwohnerwehry. — W razie oporu wkroczy ententa do Zagłębia Ruhr i Bawaryi.

Gdańsk (PAT). Dzisiejszy „Danziger Zeitung" donosi z Berlina, że **Ententa** wystosowała do rządu niemieckiego ultimatum, zaznaczające, iż **nie zgadza się na przedłużenie terminu rozbrojenia Einwohnerwehr. W razie oporu Niemiec wkroczy nie tylko do Zagłębia Ruhr, ale również do Bawaryi.** Generał Nollet ma przyjechać w przyszłym tygodniu do Berlina, aby osobiście wręczyć rządowi niemieckiemu ostatnie postanowienie rządu paryskiego i londyńskiego.

Sprawa głosowania emigrantów na Górnym Śląsku rozstrzygnięta.

Warszawa (tel. M.). Z Paryża telegrafują: Konferencya ambasadorów w Paryżu przesłała delegacyi warszawskiej notę w sprawie plebiscytu na Górnym Śląsku. **Głosowanie emigrantów górnośląskich odbędzie się na Górnym Śląsku w innym terminie, aniżeli głosowanie ludności miejscowej.** Opracowanie wszelkich szczegółów zostało powierzone komisyi międzyaliancklej w Opolu.

Rząd polski wobec Górnoślązaków.

Gwarancye Polski dla Górnego Śląska. — Oświadczenie prez. Witosa wobec delegacyi górnośląskiej.

(PAT) **Bytom**, 30 grudnia.

Polskie pisma górnośląskie donoszą, że ostatnimi czasy wróciła z Warszawy delegacya rolników górnośląskich, złożona z przedstawicieli wszystkich powiatów. W Warszawie przyjęto rolników bardzo serdecznie. Delegacya była także na posłuchaniu u prezydenta ministrów Witosa, który również przyjął ją bardzo serdecznie. Postawiła ona premierowi szereg pytań i żądań w sprawach najżywotniejszych, obchodzących szerokie warstwy ludu górnośląskiego. Odpowiedź prezydenta ministrów była zadowalniająca pod każdym względem. Rząd polski dał następujące przyrzeczenia: Rząd polski daje pełną gwarancyę co do **samorządu Górnego Śląska**, zwłaszcza co do spraw skarbowych, walutowych i administracyjnych. Daje całkowite **zabezpieczenie inwalidom** zarówno z armii polskiej jak i z byłej armii niemieckiej i wszystkim innym tak, że pobierane przez nich renty i inne świadczenia państwowe nie będą zmniejszone, ale nie ednokrotnie zostaną podniesione, przyczem zaznacza się, że uposażenie inwalidów pobierających renty w Polsce jest nierównie lepsze i że prawo do przydziału ziemi parcelowanej przez rząd, zapewnione jest również inwalidom byłej armii niemieckiej. Rząd polski gwarantuje, że **sprawę reformy rolnej na G. Śląsku** (wysokość maksymalną ziemi, którą wolno będzie zatrzymać w prywatnem posiadaniu jednej rodziny) normuje sejm górnośląski, który będzie miał prawo maksimum to obniżyć czyli przeprowadzić **reformę rolną radykalną.** Rząd polski gwarantuje, że o ileby skrawki G. Śląska pozostały przy państwie niemieckiem i rząd niemiecki dopuścił się jakichkolwiek prześladowań albo represyi względem działaczy oddanych sprawie polskiej, to bezwzględnie zastosuje **surowe środki odwetu** względem Niemców mieszkających w Polsce, a będzie ich znacznie więcej w państwie polskiem niż Polaków w Niemczech, i ewentualnie odda do dyspozycyi prześladowanych dobrze urządzone gospodarstwa czy przedsiębiorstwa Niemców odpowiednich kategoryi. Działacze polscy nie mają więc żadnego powodu do obaw.

Protesty Niemiec w sprawie odszkodowań.

Paryż. (PAT) W. B. Kor. Ag. Havasa podaje: „Temps" ogłasza szczegóły o nowem zajściu w sprawie rozbrojenia Niemiec. Pierwszy sprzeciw Niemiec przeciwko nocie międzykoalicyjnej wojskowej komisyi kontrolującej nastąpił w ubiegłą niedzielę w ambasadzie francuskiej w Berlinie. Dr Simons i kierownik niemieckiej delegacyi pokojowej Goeppert oświadczyli się za tem, aby Francya zrzekła się żądań zawartych w nocie (!), przyczem podkreślili konieczność, by **policya była dostatecznie silną, aby mógł utrzymać porządek, wreszcie**, że nota nie została ogłoszona, aby w ten sposób uniknąć nowej kampanii prasowej przeciwko Francyi. Ambasador francuski Laurent odpowiedział, że **nota nie dotyczy samej Francyi i że Niemcy będą mogły wnieść zażalenie na konferencyę ambasadorów.** Dr Simons zapowiedział następnie analogiczne kroki u reszty państw koalicyjnych i oświadczył, że przedłoży sprawę konferencyi. Zaznaczył, że Francya powinna mieć interes w utrzymaniu porządku w Niemczech i dodał, że zapłata odszkodowań byłaby zakwestyonowaną, gdyby porządek został zakłócony. Dnia następnego zjawił się Goeppert ponownie w ambasadzie francuskiej i oświadczył, że sprawa odszkodowań nie mogłaby być w Brukseli korzystnie rozważaną, gdyby międzykoalicyjna komisya kontrolująca ustawicznie stawiała nowe żądania. Następnie zostały zapowiedziane kroki podjęte w ambasadzie angielskiej i włoskiej, a konferencya ambasadorów otrzymała komunikat rządu niemieckiego datowany z dnia 28 bm., w którym powiedziane jest, że **reorganizacya policyi została przeprowadzona w myśl żądań koalicyi** (!?), przyczem ze strony niemieckiej zaprotestowano przeciwko twierdzeniu, jakoby Niemcy naruszyły postanowienia traktatu i stypulacye zawarte w Spa.

Groźba strejku kolejowego w Niemczech

Berlin. (PAT) Kolejarze w Niemczech grożą strejkiem generalnym w całych Niemczech na wypadek nieuwzględnienia ich żądań ekonomicznych. Między rządem a przedstawicielami kolejarzy toczą się rokowania celem ugodowego załatwienia sprawy.

Koncentracya wojsk sowieckich na granicy rumuńskiej.

Londyn (PAT). Reuter. Wedle depeszy naglącej rumuńskie ministerstwo spraw zagranicznych, jaka tutaj nadeszła, bolszewicy skoncentrowali 12 dywizyj na różnych punktach granicy rosyjsko-rumuńskiej. Wojska węgierskie obsadziły strefę neutralną. Rząd rumuński zwraca uwagę rządów sprzymierzonych na ten fakt i podkreśla swoje zamiary pokojowe.

WIADOMOŚCI O KONCENTRACYI SOWIETÓW NA GRANICY RUMUNII POTWIERDZAJĄ SIĘ

Ryga (PAT). Radio. Łotewskie biuro prasowe donosi: Łotewski minister spraw zagranicznych Albot oświadczył, że wszelkie pogłoski o ponownej koncentracyi wojsk na granicy łotewskiej są bezpodstawowe. Wedle wiarygodnych informacyj niema żadnych większych sił wojennych nad granicami łotewskiemi. **Jedynie nad granicami Rumunii zgromadziły sowiety większe siły z obawy przed napadem Wrangla (?!).**

Stosunki gospodarcze między Rosyą a Ameryką niemożliwe.

Nauen (PAT). Radio. Wedle doniesień z Moskwy, z powodu wrogiego stanowiska rządu amerykańskiego do Rosyi sowieckiej, oświadczył sowiecki komisarz dla spraw zagranicznych, że **gospodarcze stosunki z Ameryką są nie możliwe** i polecił bolszewickiemu pełnomocnikowi w Rydze, ażeby anulował wszystkie zobowiązania z amerykańskiemi firmami.

Angielsko-sowiecka korespondencya w sprawie układu handlowego.

Moskwa (PAT). Radio. Angielski rząd wysłał do rządu Rosyi sowieckiej projekt handlowego układu. W projekcie tym zaznaczono, że **każda ze stron zobowiązuje się wstrzymać od kroków wojennych wobec drugiej strony, jako też wstrzymuje się od propagandy wzajemnej.** Na projekt ten odpowiedział Cziczerin, oświadczając, że **wymienione warunki nie odpowiadają głównym zasadom, jakie przyjęto w lecie w czasie wzajemnych rokowań.** Niezależnie od tego układu handlowego powinna — pisze Cziczerin — być zwołana polityczna konferencya, któraby ustaliła zasady w kwestyach politycznych pomiędzy Anglią i Rosyą. Rząd sowiecki żywi nadzieję, że Anglia przychyli się do tego.

Przed procesem przeciw czeskim komunistom.

Praga. (PAT) „Tribuna" donosi, że śledztwo w monstrualnym procesie komunistów prowadzone jest przez radcę sądu okręgowego Svobodę w przyspieszonem tempie. Władze skonfiskowały w czasie aresztowań komunistów w Ludowym Domu znaczne ilości broni, a w okręgu kladzieńskim magazyny odznak czerwonej armii, przygotowane dla przyszłej armii komunistycznej czeskiej. Pozatem skonfiskowano w kladzieńskiem czapki wojskowe przygotowane dla czerwonogwardzistów. Czapki te miały formę pruskich pikelhaub z czerwoną odznaką komunistyczn. na przodzie. Do pierwszego przesłuchania uwięzionych komunistów przyjdzie prawdopodobnie za 14 dni. Przedewszystkiem odbędzie się proces przeciw Munie i jego towarzyszom.

Komuniści czescy przenoszą się na Morawy.

Praga (PAT). „Prawo Lidu" donosi, że komuniści zamierzają przenieść główną siedzibę z Pragi do Berna. Kierownictwo partyi komunistycznej przyjąłby były burmistrz miasta Berna, Vankov. Komuniści stracili już nadzieję zdobycia znaczniejszych sukcesów w Czechach i zamierzają agitować na Morawach i Słowaczyźnie, gdzie grunt dla idei komunistycznej ma być korzystniejszy, niż w Czechach.

Konferencye litewsko-kowieńskie wznowione.

Warszawa (PAT). Wczoraj wieczorem wznowiono konferencye delegacyi litewsko-kowieńskiej z przedstawicielami naszego rządu.

Sekwestr majątków ziemskich w Kowieńszczyźnie.

Warszawa (PAT). Przybyli z Kowieńszczyzny komunikują o postanowieniu rządu kowieńskiego co do sekwestracyi wszystkich majątków ziemskich, których właścicielami są nieobecni. Sekwestr ma być uskuteczniony natychmiast. **Ostre zarządzenie to jest skierowane przeciwko Polakom**, których znaczna liczba siłą wypadków znajduje się poza granicami terytoryum kowieńskiego.

Sprawa uchodźców w Galicyi Wschodniej

Lwów. (PAT) W sprawie uchodźctwa tysiąca obywateli z dawnego imperyum rosyjskiego, szukających schronienia w Polsce, uchwaliła lwowska rada miejska na wczorajszem posiedzeniu jednogłośnie następujący wniosek: Rada miasta Lwowa zwraca się do rządu z gorącem życzeniem, aby, udzielając asylu uchodźcom, popierał ich starania o udzielenie zezwoleń na **emigracyę do Ameryki** i zarazem wyraża nadzieję, że państwa zachodnie, a w szczególności Ameryka pośpieszą im z udzieleniem potrzebnej pomocy.

P. Stambuliński u Nacz. Państwa.

Warszawa. (Tel. M.) Wbrew doniesieniom, prezydent gabinetu bułgarskiego Stambuliński zostanie przyjęty przez naczelnika państwa w Belwederze dopiero w piątek. Dzisiaj odbyło się u ministra spraw zagranicznych ks. Sapiehy śniadanie na cześć gościa. Rano premier Stambuliński złożył wieniec na sarkofagu poległych. Wieniec opatrzony jest napisem: Bohaterskim obrońcom Ojczyzny i cywilizacyi w walce z bolszewikami — Bułgary.

Przyjęcie bułgarskiego prezydenta ministrów w Warszawie.

Warszawa. (PAT) Wczoraj wieczorem prezydent ministrów Witos podejmował w hotelu Europejskim bułgarskiego prezydenta ministrów Stambulińskiego i towarzyszących mu Kissimowa, posła bułgarskiego w Atenach oraz Madżarowa, bułgarskiego charge d'affaires w Warszawie i p. Grabowskiego, posła naszego w Sofii. Prócz prezydenta ministrów Witosa oraz podsekretarza stanu dra Wróblewskiego, pełniących rolę gospodarzy, w przyjęciu wzięli udział marszałek sejmu Trąmpczyński, reprezentanci miasta, wojskowości i prasy, oraz ministrowie. Pod koniec obiadu przemówił prezydent ministrów Witos, wyrażając swoją radość z powodu, że może powitać przewodniczącego bratniego narodu bułgarskiego w osobie pana prezydenta Stambulińskiego, będącego synem ludu bułgarskiego tak, jak on jest synem ludu polskiego. Oba narody, bułgarski i polski przechodziły ciężkie lata niewoli. Oba cieszą się obecnie niepodległością i wolnością. Chociaż położenie polityczne nie pozwala jeszcze na używanie w całej pełni słodyczy pokoju, to jednak oba narody ugruntowały tak silnie swoją wolność, że mogą się nie bać wrogów. Prezydent Witos zakończył przemówienie swoje życzeniem przyszłości jak najlepszej dla narodu bułgarskiego. W odpowiedzi na przemówienie prezydenta Witosa, prezydent bułgarskich ministrów Stambuliński dotknął wypadków ostatnich lat, ciężkich przejść Bułgaryi i swojej w niej roli i wyraził swój podziw dla tego, co w Polsce widział, oraz podziękował za gościnne w Polsce przyjęcie. Następnie wzniósł toast na cześć Polski w ręce prezydenta ministrów Witosa. Minister spraw zagranicznych Sapieha wzniósł następnie toast na cześć bułgarskiego króla Borysa, a prezydent Stambuliński na cześć naczelnika państwa polskiego.

N. P. R. wobec rządu koalicyjnego.

Warszawa (tel. M.). W kołach politycznych warszawskich rozszerza się pogłoska, że **narodowa partya robotnicza zamierza poddać rewizyi swoje stanowisko wobec rządu koalicyjnego.** Decyzya ostateczna w tej sprawie ma zapaść na radzie naczelnej nrodowej prtyi robotniczej, która zbierze się dnia 14 stycznia 1921 w Warszawie.

W kołach poselskich N. P. R. utrzymują, że stronnictwo to uważa, iż dotychczasowa polityka rządu podrywa rzekomo zaufanie mas robotniczych do partyi N. P. R., albowiem anarchia i rozpaczliwy stan aprowizacyjny uniemożliwia N. P. R. przeciwstawienie agitacyi strajkowej swego hasła pokojowego: „Pracy dla chleba".

Strejk zecerów w Gdańsku

Gdańsk. (PAT) Dziś wybuchł tu strejk zecerów na tle żądań ekonomicznych. Większość dzienników nie wyszła.

Porcelanowa moneta.

Nauen (PAT). Radio. Rząd saski wypuścił po raz pierwszy w obieg monetę porcelanową.

Wydawca: W zastępstwie Spółki Wydawniczej „Goniec Krakowski" Sp. z o. o.: Maryan Fontana, Redaktor odpow.: Ludwik Gronuś

Drukarnia Ludowa w Krakowie.

Powszechne Biuro reklamy „PRASA"

Kraków, ul. Karmelicka 16 -- Telefon 2086



Największy instytut dla reklamy prasowej w Małopolsce

przyjmuje zlecenia insercyjne do wszystkich czasopism krajowych i zagranicznych. — Najtańsza kalkulacja cen oraz szybkie i ściste wykonanie zamówień. — Fachowe wskazówki i projektowanie układów inseratowych. Specjalny dział sprawozdawczy dla redagowania fachowych sprawozdań, notatek dziennikarskich etc. — Reklama artystyczna i świetlna (kinowa i uliczna). — Projekty klisz artystycznych przez własnego rysownika dla stałych komitentów bezpłatnie

Biuro „Prasa" znajduje się pod fachowem kierownictwem grona współpracowników (redakcji i administracji) pism krakowskich.

Skład maszyn do pisania i rachowania

Przyrządy i części składowe do tychże.

Kazimierz Blicharski

Floryańska 32



GARBARSKA SPÓŁKA

Z OGR. ODPOW.

W OŚWIĘCIMIU

BIURO W KRAKOWIE
UL. BRZOZOWA 13.

dostarcza

pierwszorzędnej jakości skóry juchtowej, boxowej :: czarnej i kolorowej. ::

HANDLOWA SPÓŁKA AKCYJNA

„IMPEX"

:: KRAKÓW :: STRADOM 19

poleca

Obuwie warszawskie i zagraniczne, obcasy gumowe, materyały wełniane, krajowe i zagraniczne, zefiry, szyrtyngi, barchany, pledy, oraz nowości

szwajcarskie,
angielskie
i włoskie

Sprzedaż wyłącznie hurtowna!!

KALENDARZ NA ROK 1921

STYCZEŃ

Dni	Rzymsko-katolickie
1 S	**Nowy Rok 1920.** Miecz.
2 N	**N. po N. R.** *Im. Jez.*
3 P	Genowefy panny
4 W	Tytusa
5 S	Telesfora, Emil.
6 C	**Św. Trzech Króli**
7 P	Lucyana
8 S	Seweryna op.
9 N	**1 po 3 Kr.** Juliana m.
10 P	Agatona p.
11 W	Honoraty
12 S	Ernestyna
13 C	Hilarego
14 P	Feliksa m.
15 S	Pawła pustelnika
16 N	**2 po 3 Kr.** Marcelego
17 P	Antoniego pustel.
18 W	Piotra
19 S	Ferdynanda
20 C	Fabiana
21 P	Agnieszki
22 S	Wincentego
23 N	**3 po 3 Kr.** *Zaśl. N.M.P.*
24 P	Tymoteusza bisk.
25 W	*Najśw. Rodziny*
26 S	Polikarpa
27 C	Jana Chryzost.
28 P	Walerego.
29 S	Franciszka Salezego
30 N	**Międzp.** Martyny
31 P	Marceli wd.

LUTY

Dni	Rzymsko-katolickie
1 W	Ignacego
2 S	**N. M. P. Gromnicznej**
3 C	Błażeja m.
4 P	Weroniki
5 S	Agaty panny m.
6 N	**Zapust.** Doroty p. m.
7 P	Romualda op.
8 W	Jana z M.
9 S	*Popielec.* Apolonii
10 C	Scholastyki p.
11 P	Ob. NP. Łucyana
12 S	Modesta, Eulalii
13 N	**1 P. Wstęp.** Kat.
14 P	Walentego kapł.
15 W	Faustyna
16 S	Juliana
17 C	Konstancyi
18 P	Flawiana
19 S	Konrada w.
20 N	**2 P. Sucha.** Leona
21 P	Andrzeja
22 W	Fortunata
23 S	Piotra Damiana
24 C	Macieja ap.
25 P	Zygfryda
26 S	Wiktora
27 N	**3 P. Głucha.** Aleks.
28 P	Romana ap.

MARZEC

Dni	Rzymsko-katolickie
1 W	Albina b.
2 S	Sympilcyusza, Pawła
3 C	Kunegundy
4 P	Kazimierza
5 S	Euzebiusza
6 N	**4 P. Środop.** Fryderyka
7 P	Tomasza
8 W	Jana B., Winc. Kadł.
9 S	Franciszka
10 C	40 Męczenników
11 P	Konstantyna
12 S	Grzegorza Wiel.
13 N	**5 P. Czarna.** Krystyny
14 P	Leona
15 W	Klemensa, Longina
16 S	Hilarego
17 C	Gertrudy
18 P	Edwarda
19 S	*Józefa Oblub.*
20 N	**6 P. Palm.** Eufemii
21 P	Benedykta
22 W	Katarzyny Szw.
23 S	Wiktora
24 C	*Wielki.* Gabryela
25 P	*Wielki.* Emanuela
26 S	*Wielka.* Ruperta
27 N	**Wielkanoc**
28 P	**Poniedz. Wielkanocny**
29 W	Cyryla m.
30 S	Kwiryna, Anieli
31 C	Halbiny p.

KWIECIEŃ

Dni	Rzymsko-katolickie
1 P	Hugona
2 S	Franciszka z P.
3 N	**1 po W.** Ryszarda
4 P	**Zwiastow. N. M. P.**
5 W	Wincentego
6 S	Celestyna
7 C	Rufina
8 P	Dyonizego b.
9 S	Maryi Kleofas.
10 N	**2 po W.** Ezech.
11 P	Leona
12 W	Zenona b. m.
13 S	Justyna
14 C	Tyburcyusza
15 P	Anastazyi
16 S	Urbana pap.
17 N	**3 po W.** Rudolfa
18 P	Apolonii
19 W	Tymona
20 S	Wiktora
21 C	Anzelma bisk.
22 P	Sotera
23 S	Wojciecha bisk.
24 N	**4 po W.** Fidelisa
25 P	Marka ewang.
26 W	Kleta i Marcelina
27 S	Zyty, Anastazego
28 C	Pawła od krzyża
29 P	Piotra m.
30 S	Katarzyny Sen.

MAJ

Dni	Rzymsko-katolickie
1 N	**5 po W.** Filipa i Jakóba
2 P	Zygmunta
3 W	**3 Maja.** Znal. św. K.
4 Ś	Floryana m.
5 C	**Wniebowstąpienie P.**
6 P	Jana w oleju
7 S	Domiceli p.
8 N	Stanisława bisk.
9 P	Grzegorza
10 W	Izydora roln
11 Ś	Adolfa
12 C	Pankracego
13 P	Serwacego
14 S	Bonifacego m.
15 N	**Zielone Świątki,** Zofii
16 P	**Poniedz. Z. Św.**
17 W	Paschalisa w.
18 S	Feliksa kap.
19 C	Piotra Celest.
20 P	Bernarda
21 S	Feliksa
22 N	**1 po S.** Julii p.
23 P	Dyzyderyusza
24 W	Joanny
25 S	Grzegorza
26 C	**Boże Ciało**
27 P	Jana p. m.
28 S	Wilhelma
29 N	**2 po S.** Maksymiliana
30 P	Ferdynanda
31 W	Anieli i Petron.

CZERWIEC

Dni	Rzymsko-katolickie
1 S	Jakoba b.
2 C	Marcelina
3 P	*Serca Jez.* Klotyldy
4 S	Franciszka Car.
5 N	**3 po S.** Bonifacego
6 P	Norberta
7 W	Roberta, Sabiny
8 S	Medarda b.,
9 C	Felicyana, Pelagii
10 P	Małgorzaty kr.
11 S	Barnaby
12 N	**4 po S.** Onufrego
13 P	Antoniego
14 W	Bazylego b.
15 Ś	Wita i Modesta
16 C	Bennona b. w.
17 P	Adolfa b.
18 S	M. B. Nieust. Pom.
19 N	**5 po S.** Juliana
20 P	Sylweryusza
21 W	Alojzego Gonzagi
22 Ś	Paulina b. w.
23 C	Wandy, Agrypiny
24 P	Jana Chrzciciela
25 S	Wilhelma op.
26 N	**6 po S.** Jana i Pawła
27 P	Władysława
28 W	Leona pap. w.
29 Ś	**Piotra i Pawła**
30 C	Emilii i Lucyny

LIPIEC

Dni	Rzymsko-katolickie
1 P	Teobalda
2 S	Nawiedz. NMP.
3 N	**7 po S.** Anatola
4 P	Ireneusza
5 W	Antoniego zak.
6 Ś	Izajasza
7 C	Cyryla i Metodego
8 P	Elżbiety kr. w.
9 S	Weroniki
10 N	**8 po S.** 7 Braci męcz.
11 P	Piusa I. pap.
12 W	Jana Gwalberta
13 Ś	Małgorzaty
14 C	Bonawentury
15 P	Henryka
16 S	NMP. Szk., Eust.
17 N	**9 po S.** Aleksego
18 P	Szymona z L.
19 W	Wincentego à Paulo
20 Ś	Czesława
21 C	Praksedy p. m.
22 P	Maryi Magdaleny
23 S	Apolinarego
24 N	**10 po S.** Krystyny
25 P	Krzysztofa
26 W	Anny, Matki NMP.
27 Ś	Pantaleona, Aurelii
28 C	Wiktora
29 P	Kunegundy
30 S	Abdona, Julity
31 N	**11 po S.** Ignacego

SIERPIEŃ

Dni	Rzymsko-katolickie
1 P	Piotra
2 W	NMP. Anielskiej
3 S	Znal. św. Szczepana
4 C	Dominika wyzn.
5 P	NMP. Śnieżnej
6 S	Przem. P. J. Sykst.
7 N	**12 po S.** Kajetana
8 P	Cyryaka
9 W	Romana i Juliana
10 S	Wawrzyńca m.
11 C	Zuzanny
12 P	Klary
13 S	Hipolita
14 N	**13 po S.** Euzebiusza
15 P	**Wniebowzt. N. M. P.**
16 W	Joachima, Rocha
17 Ś	Liberta
18 C	Heleny
19 P	Juliusza
20 S	Bernarda op.
21 N	**14 po S.** Jacka w.
22 P	Tymoteusza
23 W	Poc. NMB.
24 S	Bartłomieja ap.
25 C	Ludwika kr. w.
26 P	Zefiryna m.
27 S	Józefa Kalasantego
28 N	**15 po S.** Augustyna
29 P	Ścięcie św. Jana
30 W	Róży z Limy, Fel.
31 S	Raimunda w

WRZESIEŃ

Dni	Rzymsko-katolickie
1 C	Idziego
2 P	Stefana kr. w.
3 S	Bronisławy
4 N	**16 po S.** Rozalii
5 P	Wawrzyńca
6 W	Zacharyasza
7 S	Reginy p.
8 C	**Narodz. N. M. P.**
9 P	Georgoniusza
10 S	Mikołaja z T.
11 N	**17 po S.** Prota i Jacka
12 P	*Imienia NMP.*
13 W	Waleryana m.
14 S	*Podw. s. Krzyża*
15 C	Nikodema
16 P	7 bol. NP., Ludmiły
17 S	Piętna św Franc.
18 N	**18 po S.** Józefa
19 P	Januaryusza
20 W	Eustachego
21 S	Mateusza
22 C	Tomasza b. w.
23 P	Tekli p. m.
24 S	NMP. Wykupu
25 N	**19 po S.** Władysława
26 P	Cypryana
27 W	Kosmy i Damiana
28 S	Wacława
29 C	*Michała archan.*
30 P	Hieronima kapł.

PAŹDZIERNIK

Dni	Rzymsko-katolickie
1 S	Remigiusza, Julii
2 N	**20 po S.** Aniołów Str.
3 P	Kandyda
4 W	Franciszka Seraf.
5 Ś	Placyda m.
6 C	Brunona w.
7 P	Justyny
8 S	Laurencyi, Pelagii
9 N	**21 po S.** Wincentego
10 P	Franciszka b.
11 W	Gerona i Tow.
12 Ś	Maksymiliana
13 C	Edwarda
14 P	Kaliksta
15 S	Jadwigi, Teresy
16 N	**22 po S.** Saturnina
17 P	Wiktora
18 W	Łukasza ew.
19 Ś	Piotra z Alkan.
20 C	Felicyana
21 P	Urszuli
22 S	Filipa b., Korduli
23 N	**23 po S.** Ignacego
24 P	Jana Kantego
25 W	Kryspina męcz.
26 Ś	Ewarysta
27 C	Sabiny p. m.
28 P	Szymona i Tad.
29 S	Narcyza i Zenobiusza
30 N	**24 po S.** Marcel.
31 P	Lucylli m.

LISTOPAD

Dni	Rzymsko-katolickie
1 W	**Wszystkich Św.**
2 S	*Dzień Zaduszny*
3 C	Huberta b. w.
4 P	Karola Borom.
5 S	Elżbiety, Zacharyasza
6 N	**25 po S.** Leonarda
7 P	Amaranta
8 W	Bohdana, Bogomira
9 S	Teodora
10 C	Andrzeja z Aw.
11 P	Marcina b. w.
12 S	Chrystyana
13 N	**26 po S.** Stan. Kostki
14 P	Jozafata
15 W	Leopolda
16 S	Edmunda
17 C	Salomei
18 P	Romana
19 S	Elżbiety kr. wd.
20 N	**26 po S.** Feliksa Wal.
21 P	Ofiarow. NMP.
22 W	Cecylii p. m.
23 Ś	Klemensa p. m.
24 C	Jana od Krzyża
25 P	Katarzyny p. m.
26 S	Sylwestra, Konrada
27 N	**1 Adw.** Waleryana
28 P	Grzegorza
29 W	Saturnina
30 S	Andrzeja

GRUDZIEŃ

Dni	Rzymsko-katolickie
1 C	Natalii, Eligiusza
2 P	Bibiany, Hipolita
3 S	Franciszka Ks.
4 N	**2 Adw.** Barbary
5 P	Anastazego
6 W	Mikołaja bisk.
7 S	Ambrożego b.
8 C	**Niep. Pocz. N. M. P.**
9 P	Leokadyi
10 S	N. M. P. Loret.
11 N	**3 Adw.** Damazego
12 P	Aleksandra
13 W	Łucyi i Eugen.
14 Ś	Izydora
15 C	Wiktora
16 P	Euzebiusza
17 S	Łazarza b.
18 N	**4 Adw.** O. NMP.
19 P	Tymoteusza
20 W	Teofila
21 S	Tomasza ap.
22 C	Zenona
23 P	Wiktoryi p.
24 S	Adama i Ewy. *Wigilia.*
25 N	**Boże Narodzenie**
26 P	**Szczepana m.**
27 W	Jana ewang.
28 Ś	Młodzianków
29 C	Tomasza b.
30 P	Eugeniusza, Sabina
31 S	Sylwestra

DODATEK LITERACKO-ARTYSTYCZNY »GOŃCA KRAKOWSKIEGO«

do numeru noworocznego (1) z dnia 1-go stycznia 1921 roku

JERZY POGONOWSKI

„Twardy cham“

Wspomnienie legionowe.

W roku 1914, dnia 15 grudnia zaatakowały wojska rosyjskie Rafajłowę, ale odrzucono ich po Hładyszcze. Nazajutrz jednak znaleźli się i Polacy w niebezpieczeństwie. Przez kilkanaście dni następnych trwał spokój pozorny, markowany fałszywą przyjaźnią moskiewską, pełną tajnych knowań.

Na Sałatruku siedział ze swymi porucznik legionowy Józef Talicki, zwany ogólnie „twardy cham“. W nocy z 22 na 23 stycznia przechadzał się, kaszląc, po stanowisku.

Nagle stanął na „kto idzie?“ Szczękający zębami z zimna wił się przed nim pod karabinem młody legionista.

— Swój — odruchowo mruknął porucznik.

— Zimno ci bardzo?

— Ledwo stać mogę, obywatelu-poruczniku. Mam gorączkę.

— To nie, — zatrzymał się przy nim Talicki i kładąc mu rękę za kołnierz — aleś słaby i wycieńczony.

Tu zaniósł się Talicki ciężkim suchotniczym kaszlem.

— Możebym cię zluzował?

Szyldwach się cisnął:

— Obywatelu, to niemożebne! Wszak straży zdawać nie można.

— Zdasz na rozkaz. Daj karabin, na moją odpowiedzialność.

Legionista ociągał się jeszcze lekko.

— Samiście chorzy, poruczniku.

— Et! twardszym od ciebie. Jeszczebyś zemdlał... idź spać.

I szczęknął już na sobie karabinem, tłumiąc atak kaszlu.

Miarowo kroczył. Niedługo świt. Otrząsał się z zimna, zabijał trochę ręce.

I myślą lata swoje pogonił.

Ujrzał się w szkole, upartym mrukiem, ciężkim kujonem i jak tam go jeszcze przezywano. Siedział zawsze, jak struna, jakby kij połknął, i prostował tym strasznym kaszlem wciąż wstrząsaną pierś.

Rano szkoła, potem nauka domowa, przy tylu brakach — korepetycye dawane po południu, zmaganie się z zazierającą nędzą — o głodzie w chłodzie.

Nigdy słowa skargi nie syknął. Płakać nie lubił, bo wyglądał wtedy bardzo śmiesznie.

W gimnazyum jeszcze zakochał się w pannie Lusi Waleckiej, ale nie powiedział jej o tem nigdy. Nie czuł się w prawie sięgać po szczęście. Choć i tak los jej nieświetny — biedna nauczycielka.

— Co u dyabła, czy ja histeryk jestem? — zapytał sam siebie. Żal ciśnie mię w gardle i chce mi się wyć. Ładniebym wyglądał, ze zmarzłemi na pysku łzami.

Majaki nocne przeszły w gorączkę. Wiatr grał. Zaczął wstawać świt, i położył twarda rękę na starganej piersi porucznika.

Noc się powoli rozpierzchła.

. . . .

Zagrała poranna pieśń gór, obudził się obóz. Talickiego zluzowano śród śmiechu, bo w Legionie panowała koleżeńska poufałość, a zwłaszcza w oddziale „Twardego chama“ Józka.

Młody dr Rdzawicz, kapral, szedł pod rękę z Olszewskim, tym którego Talicki zluzował na warcie ubiegłej nocy.

— Już mów, co chcesz — ciągnął Rdzawicz, ten twój „twardy cham“, może i nie twardy, ale co cham, to już z pewnością. Popatrz, jaki burkliwy, odęty zawsze, milczący — to poza i w dodatku antypatyczna.

— Ja myślę, że on biedny bardzo — mówił niepewnie Olszewski — ale sympatyi dla niego wielkiej nie mam.

Nagle minął ich szybko Talicki, mrugając oczyma. Popatrzyli za nim obaj, aż przepadł.

— Twardy cham — zamknął dyalog Rdzawicz.

. . . .

W nocy ciemnej a mroźnej, rozgorzał podstępny bój Rosyan. Ze Sałatruku wiódł Talicki swoich z kapitanem Terleckim i porucznikiem Zającem i Udałowskim w odsieczy zaskoczonym od frontu w Rafajłowej.

Szli nocą dziarskim pochodem, duchom podobni. Trawy dławiły ich chód, a podniecenie w nich grało. W duszach rozjarzył się zapał. Ciche szły z ust do ust rozmowy. Rdzawicz przysunął się do Olszewskiego i pytał, jak się czuje, potem zeszli w rozmowie na wodzów — na Talickiego, który szedł, by głuchy cień, przy ogromnym kapitanie Terleckim. Podobni do siebie, obaj milczący sunęli wiecznie na czele, a biła od nich zasępiona waga chwili!

To czego oczy Rdzawicza i Olszewskiego nie dostrzegłszy, zarysowało się rozmajaczonym oczom wodzów.

Porucznik przystanął nawet chwilowo — jakby go grozy pełne widmo uchwyciło za kark i podniosło mu włosy pod czapką.

— Hej, hej — targnął się naprzód, szedł dalej, acz wir kotłował mu w głowie i dzikie rozpętywał obrazy.

Mknij w bój, na zgon, po trupów pokłosie — zbladłemi usty wszeptywał weń Strach — tam otwarta rozpacz i szał — tam śmierć.

A Śmierć zabiegła mu drogę ze słowy: To ja — wierna i cicha, nie twórz serca mirażem całunków mych ust — one są słodkiem ukojeniem.

Aż wreszcie go popchnął naprzód Szał, zbudził okrzyk potworny:

— Hej, w bój!...

Kiedy za chwilę komendant major Roja, z pod pomarszczonych brwi oczyma bijąc, kompanie dzielił, na lewe skrzydło Terleckiego posyłał z Talickim, by przez wzgórza sałatruckie dokonali oskrzydlenia, zapytał Węglawskiego: „Czy Talicki się boi, że tak zmieszany!“

— Ej, nie, to twardy cham, majorze, rwie się do bitki — odparli jednogłośnie.

. . . .

Jak lawina, przed pierwszy rów strzelecki na Tersowaniu, spadali ze zboczy gór Moskale. Huraganowy pęd i ryk tysięcy rwał powietrze, a dzika palba dała mu wtór. Parli na rów przesmyku.

Zawrzał wściekle rozpaczny bój o okopy, legioniści stracili wypierani okop pierwszy, drugi i domek „zarządcówkę“ — ale Minkiewicz zebrał

EWA ŁUSKINA.

Historya pozytywki

Staroświeckie miasto, jak z dawnej kroniki wycięte, a do tego dzielnica uboga, o krzywych uliczkach i śmiesznych domostwach. Obok białego klasztoru mniszek, jest tam dom zupełnie średniowieczny, ozdobiony basztą w kształcie gołębnika, o oknach nierównego rozmiaru, kształtu i rozmieszczenia; o bramie zarysowanej w półkole, bardzo niskie, a za to szerokie tak, że oprócz oddrzwi w owem zagłębieniu mieści jeszcze kwadratowe okienko za wypukłą kratą, a pod niem wyżłobiono małą ławkę kamienną.

Na przeciwległej stronie ulicy, jak chudy i skryty klecha, obok dobrodusznego, przysadzistego piwowara, wznosi się kamieniczka wąska, jak iglica trzechpiętrowa, o jednem oknie frontu i bramie zagadkowej — bo przynależne jej miejsce zajmuje nisza ostrołukowa i płaska, w której niewiadomym sposobem, jak tynk, przylepiony do ściany, mieści się kramarz, pan Psuja — blady, płowy, cienki i żałosny — podobny do woskowej figury męczennika; przecięty wpół, gdyby piłą, wąską deseczką na tle wpuszczonych w mur półek z towarem, a świecące guziki i paciorki błyszczą mu naokół głowy, jak pobożne wota.

Okienko naprzeciw przedstawiało się inaczej, jednak niemniej osobliwie.

Pod grubą warstwą pyłu bystre oko z trudnością rozróżniało przedmioty przedziwnych jakichś form i niecodziennego przeznaczenia, które objaśniał dopiero zawieszony nad bramą zczerniały szyld:

„Robin, handlarz starożytności“.

Jedyną, barwną i wabiącą oko rzeczą była tam para figurek w tanecznych pozach, umieszczonych na wierzchu palisandrowej pozytywki.

Dnia, o którym mowa — a był to jeden z tych nieporównanych dni późnej jesieni, gdy po spadłym świeżo deszczu, w ciepłem, wilgotnem powietrzu, zaczynają drgać gdyby widome, przejrzyste płatki złota, o zachodzie mistrzowskim — dnia tego zatem ręka niewidzialnego handlarza, w chęci przywabienia kupujących, a może poprostu z nudów, nakręciła zapomniany mechanizm pozytywki i wnet w takt dźwięków delikatnych i cienkich, jak bzyk muchy, zaplątanej w sieć pajęczą — para tancerzy na wieczku ożyła i zaczęła kręcić się w kółko, w tańcu sztywnym i ślicznym.

Jakie czary leżały uśpione na dnie pozytywki — niewiadomo, dość, że przed oczy starego Robina wywołały zjawisko niezwykłe:

W półkolu oddrzwi, na złotem, powietrznem tle, zarysowała się gdyby różdżka wiosennych bazi na kwietnią niedzielę, stworzonko jakieś niewielkie, nędzne i wesołe, o ruchach małpki, dziwaczne tak prawie, jak sam właściciel sklepu.

Na cienkich, smukłych nóżkach, ma to subtelne, różowe trykoty, nieco brudnawe, ale zresztą cudowne; szary kaptur kryje ramionka i głowę, z pod niego zaś najniespodziewaniej rzuca się ulotny płat spódniczki z szarej gazy, niedostającej kolan, usianej kryształowemi szkiełkami. Jest to jak stulone skrzydło ćmy, na którem jeszcze lśnią przywarte w tułaczej, ślepej wędrówce, rosy wieczorne.

Śmiała ta istotka ma w jednej ręce miedziany, półkolisty kociołek z mlekiem, drugą wskazuje na okno i pyta z niesłychanym zajęciem:

— Co to jest?

Robin, który właśnie, choć w innym sensie, zadawał sobie tożsamo pytanie, dźwignął się z kąta.

Przewyborny ten starzec, w opończy nieokreślonego koloru, jakim mieni się niekiedy staw zzieleniały, a który za czasów, z jakich pochodził najstarszy numizmat w sklepie Robina, był zapewne czarnym — otóż starzec ten mógłby przedstawiać Ahasvera, wiecznego tułacza, gdyby nie to, że od pół wieku nie ruszył się ze swego miejsca — i gdyby drżąca jego głowa nie przypominała raczej maryonetki lub nieopierzonej głowy ptaka.

Taka szacowna postać podniosła się z pyłu, z pośród wiekowych skarbów, rozlatujących się w próchno, w towarzystwie kota o wypłowiałej ze starości sierści i równie sędziwego psa, który wśród katastrof życiowych pozbawiony został ogona, a strata ta, mimo upłynionych lat, zawsze jeszcze niezwykle go ambarasowała.

Robin przemówił:

— To — pozytywka.

Zdjął ją z okna i postawił na pulpicie.

Dziewczynka aż przyklękła z zachwytu. Równocześnie trzymany w ręku kociołek stawia na otwartych kartach starej i cennej kroniki. Kociołek przewraca się, zalewając strugami mleka karty, ozdobione cudnemi miniaturami. Ale nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

Co szczególniejsze, stary Robin, acz drgnął ze zgrozy, lecz nie rzekł ani słowa, tylko połą opończy osusza cenne karty, na których już nie było co wiele ratować.

Tymczasem melodya utknęła już na jakimś wyłamanym zębie, zgrzytnęła zardzewiała maszynerya i zamilkła... a równocześnie figurki na wieczku znieruchomiały.

Rozjaśniona twarz dziewczynki przybrała wyraz lekceważenia.

— Eh, tylko tyle...

Teraz dopiero rozejrzała się po dziwnym sklepie i nie krępując się bynajmniej obecnością Robina, który z cienia śledził ją bystro, zaczęła obchodzić wszystkie kąty i dotykać różnych przedmiotów.

Szary kaptur opadł jej na plecy, odsłaniając główkę, która jest kaprysem samym.

Nie jest ona może ładną, ale już umie nią być przedziwnie; usta jej dziecinne krzywią się ślicznie uśmieszkiem ironii i niesłychanej pewności siebie.

Jest to szkic mistrzowski na jedną z tych

swe szyki i za chwilę znów runęły polskich strzelców kompanie na okopy.

W szale boju wrzał atak na bagnety. Huczało „ura" i „jej Bohu" — to wściekły zapamiętały ryk podhalańskich górali.

W skłębieniu ciał i wrzeniu mas przy pierwszym rowie legł młody Stach Kowalski, wśród innych wielu.

Pierwszy okop już polski, z drugiego i u wylotu Rafajłowej walą Moskale. Bój w trzecią wszedł fazę, a obok gromkich słów, zabrzmiał szeroko długi, niesforny śmiech polskich tryumfatorów. Niósł się w przedświt tej strasznej nocy, w piekielnych zmagań wir, na czaru zręby. — Huczał wśród łupotu potyczki, ataku, haseł bitwy i słabnącego Rosyan naporu, których z bohaterstwem osobistem parł naprzód sztabskapitan Zabiatin. Gnał on w bój swoją trzodę sołdacką i czuł, że przez małą jej duszę mrożon będzie — czarny śmierci ptak z stron zagłady zakrakał mu nad uchem. Jeno straszne łupotanie, palba dział, i zgon, i wir.

Wrzenie wzrosło. — Z prawej flanki jedzie w moskiewski tłum drużyna nowa — Terlecki, Zając, Talicki i Ćwierniak, okrwawieni ranną gloryą.

Talickiego cisnęło pod ogień. — Kiedy w czerwieni strzałów stał z wyciągniętą nakazującym ruchem ręką, z rozpalonemi oczyma, jakby zolbrzymiały — wydawał się — ciekawie. — Z popsiemu ciosaną twarzą był — piękny.

Po bitwie z uszanowaniem mówiono o nim „twardy chłop".

Gdy jeszcze upojenie zwycięzkie grało w sercach legionowej braci, między trupy tragiczne i obrzydłe, śniegiem skrwawionym brudne, szedł Talicki. Raptem przyklęknął. Młody i wątły, bagnetem przeszyty legionista — obok niego rozrzucone pocztówki — „Kochana mamo" widniało z jednej w nagłówku.

I po Talickiego zastygłym pysku przeszły kurcze — zmartwiał w dzikim kaszlu.

— Popatrz jednak, jaka to chamska gęba, trącił z blizka Dr Rdzawicz Olszewskiego, przewiązującego lewą rękę — pękać można ze śmiechu.

. . . .

Kapitan Talicki siedział w kącie ciemnym „Ranny". Małe uśmieszki zniekształcały jego szpetną twarz i wykrzywiały grube, chamskie usta.

O parę stolików dalej piło kawę dwóch panów o semickich rysach twarzy, z których jeden był według dystyncyi łajtnantem artyleryi, a drugi wyglądał nieokreślenie, od subjekta do dziennikarza. Cywilny, po krótkiem milczeniu uczynił doniosłą uwagę, że za parę dni zawita rok nowy.

— 1918! powtórzył z zadumą wojskowy. A wojna trwa.

— No, Separatfrieden — cynicznie uśmiechnął się drugi.

— Ty mi głupstw nie gadaj. Przeżywamy chwile historyczne. Dobrze będzie. Jeszcze tylko troszka. Powiedz lepiej co wesołego.

— Będziesz na Sylwestrze w Kasynie miejskiem? Pójdź, ja będę. Zobaczysz Rózię Taube, moją przyszłą.

— A co robi ta dziewczyna, ta biedna, co sie tak z nią lubi?

— Walecka? Aha, i ona będzie. Lusia jej na imię.

Talicki uniósł głowę momentalnie, lecz znów zaraz się pogrążył w dzienniku. Po twarzy przemknęły mu płomyki.

— To taka śmiszna koza, — ona się puszcza.

Targnęło kapitanem, wstał, zapłacił i wyszedł.

— Kto to jest? — zapytał łajtnant.

— To taki „decker" z legionów. Był coś w dwu bitwach, został kapitanem i już jest „superarbitrowany" na lekkiej służbie tu we Lwowie.

— Niezdrowo wygląda.

— Un ma ze strachu stałą dysenteryę, jak raz si gdzie przeraził na wojnie. On jest gut gebaut, bardzo dobrze!

Po chwili dodał:

— Tu sze z niego śmieją, bo to murga straszny. Wigryzują go, bo niepewnie szedzi sie na tym statku kapitańskim.

. . . .

Sylwester w r. 1917 wypadł w kasynie lwowskiem nieświetnie. Freschel był niedysponowany, ale mu jakoś Moniuszko poszedł — deklamacye i śpiewy banalne. Wszystkiemu temu, jak i nudnym monologom Czakiego przysłuchiwał się obojętnie Talicki, wlepiwszy oczy w siedzącą przed nim pannę Lusię. Oczyma zgłodniałego psa chłonął jej kibić i zalotne ruchy wyfioczonej główki. Wciąż też ręką po czole przesuwał.

W bufecie pił wódkę nieprzytomny i potrącany. Wreszcie zeszedł na dół popatrzeć na tańce i oparty o kolumnę śledził na kręgi zawrotne i fruwającą w nich perkatą Lusię. Oddychał ciężko pożądliwie. Szarpał też dziwnie płowy, śmieszny mech z nad warg grubych. Okręcona półobrotem, przystanęła przy nim zadyszana. Potrąciła go, a przepraszając, zajrzała mu w oczy.

— A nasz bohater! — zakrzyknęła wesoło.

Wydźwignął się z pod kolumny niezgrabnie i ukłonił się ciężko.

— Całuję rączki, panno Lusiu! — a po zrealizowaniu tych powitań, ciepło chwalił jej taniec.

— Et to nic. Pan był w lepszym pod Rafajłową, słyszeliśmy. Bohater — powtórzyła konwencyonalnie.

Ziemistą cerę kapitana Józefa oceglił rumieniec.

— Et, co tam, też pani... wspomina, bąkał głupio, bezdarnie.

Jakaś młoda para przeszła. Obejrzano się.

— Ale był pan potem jeszcze w jakiejś bitwie, prawdaż?

— Owszem; samodzielnie nawet kierowałem oddziałem, już jako kapitan.

Ale nieciekawa Lusia już podała mu łapkę na pożegnanie.

Młoda para, komentowała rozmowę ich obojga.

— Wstętnie brzydki ten legionista — mówiła panna.

— To „twardy cham", znana humorystyczna figura legionów — objaśniał ją partner mrużąc oczy.

— Ach Talicki! Strasznie śmieszne indywiduum. Nie wygląda na rycerza, wątpię, czy był w bitwie.

— W każdym razie nie w roli naczelnego. Ale zła, zdaje się, bestya.

— I ja tak myślę, nieszczególni ci nasi obrońcy.

Talicki przeszedł się po salce bufetowej i siadł szy w kącie, pił wódkę. Oczyma ścigał Lusię, siedzącą przy stoliku z rozlaną żydówką, i z owymi żydkami z „Romy", — lajtnant rozmawiał z nią nader wesoło. Lusia krygowała się.

Talickiemu po sercu szły noże, a w gardle łzy jakieś nabrzmiały. Ponuro wpatrzył się w kieliszek.

Myśli tłoczyły się ciężkiem kołem w jego głowie. — Oprzędła je stara tęsknota. Jako pierścionki na palcach panien, świeciły mu fantazye młodych złudzeń. A z dawnych tęsknic rodziły się nowe.

— „Czołem". — Przysiadł się doń młody dziennikarz - legionista, śmiejący się ze swojej „Kriegsleistung".

— Nam dobrze, — śmiał się.

Talicki potarł ręką czoło i odparł:

— Jutro zgłaszam się znów do służby polowej. Wypocząłem.

— Żartujecie, — zaśmiał się sąsiad. — Czyż wam tu źle?

W oczach Talickiego cały pokój wirował w powodzi lamp elektrycznych.

. . . .

---

kobiet, które nie będąc pięknemi, uwodzą najpiękniejszych i są najgłębiej, najszaleniej, najniezwyklej kochane.

Myszkując po kątach, przypomniała sobie naraz:

— O! — mleko... Cóż teraz będzie?

Robin skorzystał ze sposobności:

— Dla kogóż to mleko?

— Dla towarzystwa...

— Jakto?

— A tak. My jesteśmy hecarze. Jeździmy po świecie budą na kółkach. To mój dom.

— A ty jak się nazywasz?

— Simona... Ale, tak naprawdę, to — Joasia.

— Czekajże, Joasiu... dam ci mleka.

Wyszedł do drugiej izby, i zaraz przyniósł dzban gliniany, z którego nalał mleka do wypróżnionego kociołka.

Nie podziękowała nawet, jak za rzecz należącą się jej; zwraca się ku wyjściu. W progu zatrzymała się jeszcze:

— Wiecie, panie? Mnie się tu podoba. Czy mogę tu przyjść jeszcze?

Robin podchwycił skwapliwie:

— Dobrze. Ależ przychodź, ile razy zechcesz...

Kiwnęła mu lekko główką i wybiegła, unosząc kociołek.

Nazajutrz nie przyszła. Staremu czegoś brakło. Nie spostrzegł się, że czekał na nią.

Robin, choć nie bardzo na to wyglądał, był jednak człowiekiem. Za lat młodych posiadał nawet dosyć warunków, aby stworzyć sobie pospolite szczęście. Był ładnym i dostatnim chłopcem, śmiesznie tylko nieśmiałym i zamkniętym w sobie, a nadto, posiadał skarby wyobraźni, namiętności i uczucia, o czem jednak nie wiedział nikt, ani on sam nawet. Odkąd pamięcią sięgał, nie miał nikogo na świecie, a zawsze, marzył o dziecku. Nie miał go jednak, ani też nie ożenił się wcale jedynie z tego powodu, że obawiał się, iż żona lub dziecię mogą bodaj w jakimś drobnym rysie nie odpowiedzieć ideałowi, jaki sobie o nich wytworzył.

A tworzył go ukrytą pracą mózgu — życie całe... tworzył z wrażeń, czerpanych ze wszystkich dziedzin, z czasów wszystkich, z tworów zaklętych w myśl i sztukę.

Nie spostrzegł się sam, jak w tej otchłani marzenia utopił najpierw młodość, potem majątek, w końcu całe swe istnienie.

Z czciciela i zbieracza, bieda zmusiła go stać się kupcem; aby jednak coś nabyć u starego Robina, trzeba było umiejętności nielada! — Rzecz już pozbytą żegnał jak żywą istotę, a bywało, że w ostatniej chwili bladł, żółkł, sztywniał — stawał się podobnym do otaczających go hieratycznych płaskorzeźb z kości słoniowej; w końcu, rzucał pieniądze, wydzierał ukochany przedmiot z rąk zaborcy i cisnąc go do piersi, uciekał z nim do drugiej izby, w której nikt nie bywał, która była jego mieszkaniem i skarbcem takich antyków, z któremi nietylko nie rozstałby się za żadne pieniądze, ale nawet krył je przed wzrokiem profana.

We wnętrzu sklepu tymczasem Joasia pokazywała Robinowi przyniesione dwie maryonetki, wystrugane z drzewa, z woskowemi główkami, przybrane w strzępki jaskrawe.

— O!... To jest Meluzyna, a to szlachetny rycerz. — Mam jutro grać jej historyę, a jakże... kiedy Meluzyna ma mieć rybi ogon... Więc jak? co?... — pyta natarczywie.

Zafrasował się Robin nie na żarty.

— Rybi ogon... powiadasz? Hm, trzeba to jeszcze zobaczyć... Zaraz! Poszukamy...

I stary podreptał, grzebać się w pyle odwiecznych ksiąg. — Potem, zasiedli razem, jak dwaj dobrzy i rozumiejący się przyjaciele — i długo radzili wspólnie.

Joasia już dawno odbiegła, a stary Robin późno w noc siedział przy mgławem świetle olejnej, staroświeckiej lampy, oparłszy głowę na rękach.

Zdziecinniały starzec — marzył...

Mała włóczęga, o średniowiecznej twarzyczce, wcielała się niespodziewanie w jego odwieczną tęsknotę — budząc wszystkie uczucia spóźnionego, idealnego ojcowstwa.

Umysł jego, odwykły od życia realnego, nie zdawał sobie jasno sprawy ze środowiska, w jakiem żyła dziewczyna, z mocy, jakie ją kształtowały — czuł tylko jej wdzięk oszalały, śmiech jej i ironię nad własną istotą — cały czar jej istnienia, samolubny i słodki — bezświadomy i zagadkowy.

Odtąd upłynęło wiele dni zimowych, dni oczekiwań nudnych i nijakich — a w tych dniach nieco błogosławionych godzin, kiedy Joasia-Simona przybiegała do swego najlepszego przyjaciela, którego nauczyła się nazywać „ojcem Robinem".

Godziny te spędzali teraz nie w ponurym sklepie, ale w owej tajemniczej, ślepej izbie poza nim, która teraz straciła swój charakter bezładnego składu skarbów, między któremi mieścił się biedny tapczan, biednego ich stróża — a stała się komnatą godną królewny — i to — legendowej.

Zresztą żył przypadkowo — chlebem i solą.

Takim był ow owej epoce stary Robin, ten puszczyk o powierzchowności zarazem spłoszonej i ironicznej, a duszy pełnej uwielbienia... i takim, zdawało się pozostanie aż do końca życia.

Na trzeci dzień, pod wieczór, rzecz niebywała! stary Robin wychylił się ze swego kąta, i siadł skulony, spłowiały, jakby pajęczyną powleczony, na ławie w niszy, pod swem oknem.

Żałosny sąsiad, pan Psuja, aż oczy przetarł. Ciekawość go piekła — zbliżył się. Robin nie uciekł, pierwszy zagadał:

— Dobry wieczór. Co słychać?

Żałosny uszom nie wierzył.

— Chcecie panie wiedzieć... niby na naszym przedmieściu? Ano, starą Małgorzatę, co ma tu dom w podle — złodzieje okradli, sąsiad Szymon syna żeni...

Cichy powiew wiatru przeciągnął nad Huszt. Niósł się dalekiemi polami bezdennem przepojony utęsknieniem.

W barakach wrzało, bo przyjechała delegacya z Galicyi. Wszędzie, w Huszt i w Szeklencze.

WHuszt chrypiał obrzydłym kaszlem Talicki; na zapytania kommilitonów nie odpowiadał, oczyma tkwił w sprószonej strzesze.

— Z tym chamiskiem, jak do muru gadać — obruszali się koledzy.

W charczących piersiach mu grało, męczyła duszność. A umysł wciąż pracował.

— Byłem suplentem, wierzyłem w sprawę polską, pragnąłem zdobyć dla niej dusze. — Jak robotnik wżniosłem me wierzenia w serce młodzieży, jednak nie porywało uczniów me odczucie. — Byłem ofiarą i kułem dalej polską sprawę. Dziś leżę tu — ha, jak dusi. Ale każdy ma kogoś...

— Lusia...

Ciężko zastękał.

— Czemu świat tak... plunął na to wszystko, com pokochał.

. . . .

Lusia, Lusia naprawdę!

— Panno Lusiu, ja tu!

Zerwał się pod drut kolczasty i śmiał się w atakach kaszlu.

— A i pan tu, panie Józiu! Panie kapitanie! Dzień dobry panu! Jakże panu tutaj?

Po grudzie rozmowy wyszło na jaw, że Lusia odwiedza tu narzeczonego.

. . . .

Feldfebel Józef Talicki dogorywał w szpitalu w Styryi na gruźlicę.

Stary brat jego, kaszel, wytrząsał nim srodze. Apatya przeplatała ataki duszności.

Leżał wciągnięty, jak długi z zapadłą gębą i bezprzytomnie wsłuchiwał się przypuszczeń lekarskich.

— „Wird wahrscheinlich ein Simulationsfall sein".

Zobojętniały na idyotyzm świata, śmiałby się, gdyby miał siły.

— Po łanach moich rojeń, moich wierzeń, przeszedł obojętny los. Istnienie moje podcina śmierć, jestem jako on kłos wydeptan... Tak mi szaro przeszło życie.

— Nieciekawy obraz. Jakże to było w dziecińs twie? Raz mi jedyny matka jakąś zabawkę kupiła, nędzny łach. Ból mnie ścisnął, alem pocałował ją w rękę i dziękowałem za dobroć. — Jej pewnie gorzej było niż mnie — że nic dać dziecku nie mogła — tylko łach.

Szkolne lata o chłodzie i głodzie, zawód w miłości. — A teraz?

— Za co kopnięto nas wszystkich tak?

. . . .

— Ach, żem ja przejść nie mógł z Hallerem. Widzę jeszcze mych chłopców na baczność. Posunął się na łóżku. Zapadła twarz drżała.

— Śnił się nam cud.

— Dziś...

Moje życie! moje życie!

— Jakiś mię miraż wabi dziewczęcy!

— O Lusiu! żyć! żyć! Lusiu!

. . . .

Przeciągły, suchy jęk. — Zastygł jak struna.

— No, was ist?

— Tot!

— So? Tot? — Wybuch krwi. Hm, hm. A milczał stale. „Ein harter Kerl"

STEFANIA TATAROWNA.

KOWALE

Kujemy, kujemy w granicie
Spokojnie, pewnie, wytrwale —
Słyszycie potężne bicie
Jak młotów dzwonią metale?
Kujemy, kujemy życie.

Kujemy, kujemy głęboko,
By przebić na tamtą stronę —
Oblicza już mamy zmienione,
Drżą młoty walczące z opoką,
Za dniami dni szare się wloką,
Bijemy, bijemy w zasłonę.

Kujemy, kujemy wciąż sami
Wzgardzeni, cisi, wyśmiani —
Ludzie kiwają głowami,
Nie widzą, nie czują otchłani
Silnemi dobytej rękami.

A nam już pod młotem przebłyska
Ta dal, która będzie wykuta —
Cios każdy powiada, że bliska —
Nadzieja prawice zaciska,
Szumiąca, cudowna drga nuta
Z tej dali, co będzie wykuta.

Kujemy, kujemy w granicie
Na tamtą, na tamtą stronę —
Słyszycie potężne bicie?
Światło widzicie czerwone?
Kujemy, kujemy życie.

JADWIGA MIGOWA.

Jak Michała Pałkę w Nowy Rok dyabli brali...

— I jakże będzie z tem żytem, gospodarzu?...

— I dajcie mi tam spokój!... Sam lo siebie nimom... Kurom się ziarna ujmuje... dla gadziny braknie...

— Ej! gospodarzu widzi mi się, że was chciwość opętała i biedocie wygodzić nie chcecie... Nie wiecie to, że u mnie gruntu pół morga, a dzieciaków ćworo.

Maciej Pędrak spojrzał wahająco naprzód na proszącą go o sprzedaż żyta kobietę, a potem na żonę, która krzątała się koło garnków na blasze... Niepewnie podniósł do włosów rękę.

— Kie nimom...

— Ej! uważajcie sobie, żeby was zły nie skusił i żeby z wami tak nie było, jak z tym lichwiorzem, kutwą, spekulantem Michałem Pałką!...

Maciejowa żywo odwróciła się od pieca.

— A cóż to z nim było, co?

— To nie wiecie, że go tej nocy dyabli brali?!

— Dyabli go brali?! — wykrzyknęli razem Pędrak i jego żona.

— A jakże!... byłby już w dyabelskich pazurach, gdyby nie Maryna...

— Moiściewy, powiedajcież, powiedajcie, jako to było!... — prosiła Maciejowa — Maryśka! a podajże chrzestnej matce herbaty!...

— Ano było tak... Wczora koło północy, a wiecie przecie, że w noc noworoczną dyabeł straszecznie hula po świecie i ino patrzy, gdzieby co pazurem zaczepić — pokładli się wszyscy spać i w karczmie już nikogo nie było... Ino nie spała Maryna, bo ją cosi w dołku gniotło no i sam Michał zamiast pacierz zmówić i po Bożemu nowe latko zacząć — siadł w izbie w karczmie i dalejże piniendze liczyć... A ma ich ta dosyć i papierków i śrybła nawet jeszcze i złotówki się pono u niego znajdują... Wiadomo, największy na okolicę chciwiec, zdzierca i paskorz!...

Siadł se przy stole i liczy, liczy... Cichusieńko naokół było, ino coraz to wicher w olszynie zajęczał... a może nie wicher to był — a zły się śmiał.

Aż naraz słyszy Maryna, turkocze coś po gościńcu i przed karczmą stanęło... Dziewka jako dziewka ciekawa wyżrała oknem, a że miesiączek pieknie świecił, więc widno było... Patrzy, a tu z bryczki złotem okutej wysiada trzech obcych... Podobni byli na panów, a co nieco na żydków...

Wysiedli i prosto do izby karczemnej walą...

Rzucił okiem. Robin siedzi milczący, nie zdaje się słuchać.

— Komedyanci przyjechali...

Robin podniósł głowę:

— Co?... hę?... Aha!...

Pan Psuja uczuł się na właściwym gruncie:

— Stoją na polu, za basztą sukienników, bo nie chcą złożyć opłaty miejskiej, a gawiedź i tam się ciśnie, aby na hece popatrzeć — skrzywił usta. — Jakby było na co! Jest tam fagocista, chudy jak flet, karzeł, małpa, skoczek, jakaś stara kobieta, co odgaduje przyszłość — i dziewczyna-błazenek, sprytna koza, co ma teatrzyk maryonetek, i różne cudaczne historye o nich opowiada. Ale przecie ona była u was, panie?

Nie dokończył, bo dojrzał ją samą — zdyszaną, wesołą, biegnącą z odkrytą głową wprost ku staremu Robinowi.

— Jestem, panie... przyszłam, bo... bo mi czegoś od was potrzeba...

— Bardzo dobrze, Joasiu...

Zebrał stare kości z możliwym pośpiechem i znikli oboje we wnętrzu sklepu, bez żadnej uwagi na pana Psuję, który pozostał na ulicy z otwartemi ustami. Aż zaczerwieniły mu się bezkrwiste uszy, wzruszył ramionami, nakreślił kółko na czole, i pożerany ciekawością, wrócił do swojej niszy, z której wystąpił, powodowany wyższą siłą, jak cudotwórca z obrazu.

Nagle i odrapane ściany znikły, ścmione przez makaty jedwabne, przez gobeliny, opowiadające bajki tysiąca nocy i jednej, przez sprzęty, pomyślane przez marzycieli, a wykonane przez posłusznych dyabłów, wzamian za zapisaną cyrografem duszę twórcy.

Na wezgłowiu przejętem tajemnicą jakiejś nieśmiertelnej woni, Simona-Joasia przeciąga swe smukłe ciałko, pod światłem lampy arabskiej, zwisającej się ze sklepionego pułapu i siejącej światło jedyne, złoto-fiołkowe na jej główkę marzącą niewiadome rzeczy... U stóp jej drzemie czarny pies i czarny kot, a w gotyckiem krześle siedzi skulony, szczęśliwy Robin, najszczęściej z wielkim jakim foliałem na kolanach, opowiadając historye cudowne i mądre, jakie potem służą za treść przedstawieniom maryonetek, odgrywanym przed gawiedzią podmiejską, która ich również nie rozumiała.

A przecież pod ciepłem wielkiej, bezgranicznej tkliwości Robina, pod światłem jego jasnej cichej duszy, wśród tworów sztuki tak czystej, że materya zdawała się uduchowioną dotknięciem genialnej dłoni i wśród tchnienia myśli, które bezwiednie wdychała wraz z powietrzem w Joasi dokonała się pewna zmiana.

Jej słowa pozbyły się prostactwa, jej gesty stały się rytmiczne, a fantazya rozwinęła się jak wachlarz z pawich piór, naokół jścio ptasiego jej mózgu.

Przyszła wiosna. Kamienie zadrżały, mury pobladły, serca chciały uciec z piersi stęsknionej.

A kiedy Robin pewnego dnia wiosennego czekał na ukochaną dziewczynę, przyciskając czoło do kraty, jak więzień stęskniony do światła, ujrzał ją taką, jaką zdawało mu się pierwszy raz ją widzi.

Idzie nie idzie — lecz płynie, nie płynie — lecz leci, nie leci — lecz wieje... jak sama wiosna!...

Przez próg przeskoczyła, śmieje się i łasi.

— Jedziemy!...

Zachwiał się starzec — patrzy na Joasię. Ona wzrokiem daleko wybiega — oczy jej są tęskne, a pierś dziewczęcą.

Robin milczy. Skulił się w sobie, zwinął...

Joasia zdziwiona ciszą, spogląda nań wreszcie. Na oka mgnienie — wzruszył ją. Całuje jego biedną głowę, jego starcze oczy, jego ręce.

— Moja córko, córko...

— Drogi „ojcze Robinie"!

Ale zaraz wybiega w świat!...

Od progu już słyszy wołanie ciche, niedołężne:

— Weź to, weź... Zabierz...

I stare, trzęsące się ręce, podają jej — pozytywkę...

. . . .

Robin siedzi w tym samym kącie, na tem samem miejscu, co przed kilku miesiącami.

U nóg jego leży łysy kot i pies bez ogona.

Wszystko tak samo.

I Robin ten sam — aż póki nie nadszedł wieczór.

Wtedy — podniósł się i szedł krokiem pewnym, jakby odzyskał spotęgowane, młodzieńcze siły — do drugiej izby.

Otworzył drzwi. Tak — więc to nie był sen. Oto komnata, gdzie Joasia-Simona — jego córka, przeciągała swe smukłe ciałko na wezgłowiu makat — gdzie arabska lampa rzucała swe złoto-fiołkowe światło, na szarość gazy i na rosę dyamentowych szkiełek jej hecarskiej sukienki. Oto jest pałac ułudy, rozwiany w mgłę o świcie.

Patrzył długo... Zaczem rysy jego stężały — w oczach zestrzelił się błysk ponury i błędny — i dobroduszny, łagodny starzec, mamrocząc coś do siebie, poszedł do sklepu, wyszukał między stosem żelastwa wytwór sztuki epoki barbarzyństwa, berdysz o nitowanem złotem ostrzu — a uchwyciwszy go krzepko w obie dłonie, wrócił do komnaty, i począł na oślep siec, druzgotać, rozdzierać i niweczyć — cały ten przepych z krainy snów — wśród sierocego wycia psa i miauku kota, co przerażone tuliły się do jego stóp — aż ostatnim rozmachem zdruzgotał lampę arabską, złoto-fiołkową, z której wonna, płonąca oliwa, żywym ogniem i ofiarnem namaszczeniem spadła na ten stos kosztowny, na którym spłonąć miało na popiół jego starcze serce.

— Karczmarz w domu? — pytajom.

Michał jak ich uźrał, biegnie w te pędy. A kłania się, a zaprasza.., Akuratnie wtedy dwunasto godzina biła na kościele...

A ci wołają, żeby im piwa dać...

— Pieniędzmi dobremi płacimy, a nie papierami ino szczyrem złotem...

Możecie se przedstawić, jak chciwca poderwało... Znowój się kłania, sumituje i na Marynę wrzescy, zeby piwo w ten moment niosła..,

Ano gospodarz każe — sługa słuchać musi... idzie Maryna z tem piwem, weszła do izby, poźry, a u tych panów końskie kopyta...

Jak też nie praśnie dzbankiem o ziemię, jak krzyku nie narobi, że karczmarza dyabli biorą...

Zbudziła się Pałkowa i dzieci... i parobek i sąsiady na ten krzyk Marynin z domów powybiegali, choć ta poniektóry i kabata zawdziać czasu nie mioł... Zaczęli karcmę święconą wodą kropić, litanią do Matki Boskiej śpiewać, na Michała krzyże i skapleze kłaść, a onych panów z końskiemi kopytami krzyżem świętym przeganiać... Zobaczyli źli, że nie poradzą, sparzyła ich woda święcona, tak wsiedli w swoją bryczkę, konie czarne podcięli, że ogniem prychnęły. W rzykę wjechali, mgła ich zasuła i oko ludzkie więcej ich nie widziało...

Są to tacy miedowiarki i mądrole, którzy gadają, że to złodzieje byli, chcący Pałkę okraść, abo spekulanty, co handel z nim robic mieli, ale ja ta wiem, że nikt to inny nie był, ino sami dyabli...

I jakze będzie z tam żytem, Macieju, sprzedocie mi?...

IGNACY NIKOROWICZ

EWA

(Ziemia: urwiska. skały. olbzymie jezioro — w dali raj. Nie minęła doba od chwili, gdy Adama i Ewę wygnano z raju. Adam usiadł na złomie skały, załamał dłonie i duma. Ewa przegląda się w źwierciedle jeziora i wodnemi liljami stroi spodniczkę z liści).

Adam: Żałujesz?...

Ewa: Czego?...

Adam: No, raju...

Ewa: Naturalnie, tam były ładniejsze kwiaty i mrówki nie dokuczały...

Adam: Dziecko z ciebie — kwiaty i mrówki, to najmniejsza: kwiatami żyć nie można, a od mrówek straszniejsze lwy i tygrysy, które nam też wypowiedziały wojnę.

Ewa: Zabij lwa lub tygrysa — Ewunia pragnęłaby piękną skórą okryć swoje biodra.

Adam: Myślisz o drobiazgach, a myśmy raj utracili! w zamian dano nam znój, ból, śmierć...

Ewa: Rozumiem, rozumiem, ale ja temu przecie nie winna...

Adam: A kto? — może ja?

Ewa: Tego nie powiedziałam, ale z pewnością i nie ja.

Adam: A wiesz, że to doskonale — nie ty, więc kto?

Ewa: Ja ci to wyjaśnię...

Adam: Tu niema wyjaśnień — nie mogą być; wygnano nas, bo... no wiesz...

Ewa: Tylko posłuchaj! Adasiu, Adasieńku, tylko chwilę posłuchaj!

Adam: No, dobrze, dobrze; mów — jestem cierpliwy.

Ewa: Przypomnij sobie tylko. Powiedziane było: ten raj jest wasz, wszystkie stworzenia na wasze usługi — owoce, kwiaty dla was — tylko pamiętajcie, nie jedzcie jabłka z zakazanego drzewa... I nie jedliśmy długo, długo i byliśmy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi... Czyż nie prawda?

Adam: No, tak...

Ewa: Aż pewnego razu...

Adam: Tyś zjadła...

Ewa: Nie przeczę, ale to jeszcze nie dowód, że ja winna...

Adam: Jakto nie dowód! Milcz, milcz! Wiesz przecie najlepiej, jak było...

Ewa: Dasz mi skończyć zdanie, czy nie?

Adam (z rezygnacyą): Słucham.

Ewa: Gdy ty byłeś w raju sam jeden, jabłka z zakazanego drzewa nie zjadłeś. Czyż nie tak?...

Adam: No, tak — naturalnie, że nie.

Ewa: Gdy ja byłam z tobą sam na sam, gdy nas było — uważaj tylko dobrze — dwoje, żyliśmy też bez grzechu, a w szczęściu i to nie dzień i nie dwa, lecz długo, długo... Czyż nie tak?

Adam: No, tak...

Ewa: Więc, kto winien? Rozważ tylko dobrze: nie było grzechu, gdy ty byłeś sam; nie było grzechu, gdy było nas dwoje...

Adam: Ewo, Ewo!...

Ewa: Ależ to jasne: winien tylko ten... trzeci.

A. T'SERSTEVENS.

Pan Fryderyk

(Z francuskiego tłóm. Z. L.)

Codziennie przychodzi do kawiarni i siada na tarasie.

Nie zauważyłem z początku, że umieszcza się stale obok jakiejś kobiety. Te, które uczęszczają do owej kawiarenki, to dziewczęta płocHe, wymalowane, strojne w jaskrawe, rażące barwy; ze swymi miękkimi, falistymi ruchami, z dekoracyą farb i wzorzystych welonów, podobne są do łodzi, obwieszonych różnokolorowemi flagami. Lecz ich mowa przyziemna, ogołocona z wszelkiej wytworności, gardząca metaforą, sprowadza człowieka odrazu z obłoków do rzeczywistości.

A zatem siada on stale obok jakiejś kobiety, lecz nigdy do niej nie mówi. Wybiera zresztą zawsze kobietę, która jest w towarzystwie. Dzie wczęta te, skoro tylko są same i nie mają nikogo pod ręką, zaczepiają wszystkich dookoła; z chwilą zaś, gdy mężczyzna ofiaruje im szklaneczkę wina, nie interesują się już nikim innym, a temu jednemu okazują nagle wierność iście małżeńską. Wszystko, co nie jest tym kochankiem przelotnym, wybrańcem chwili, przestaje dla nich wówczas istnieć.

Siadając przy nich, Fryderyk nie nawiązuje żadnej rozmowy.

Broni się przed tem trwożliwie. Zamawia szklaneczkę absyntu. Wypija ją jednym łykiem, poczem patrzy przed siebie z twarzą nieruchomą, jakby skamieniałą. Z pod miękkiego, pilśniowego kapelusza wysuwa się kosmyk włosów i owija koło ucha. Oczy małe, osadzone blisko jedno przy drugiem, lśnią szaro srebrnym blaskiem w pośród zmarszczek i bruzd, orzących jego policzki. Nos cienki, spiczasty, usta wąskie, zacięte, broda banalna, bez wyrazu Podobny jest do pijaka z obrazu Van Ostade, którego prymitywną duszę rozjaśnia fluid alkoholu.

Zamawia drugą szklaneczkę absyntu. Nie pali, siedzi bez ruchu, nie patrzy ani na innych konsumentów, ani na przechodniów, nie patrzy nawet na kobietę, koło której siedzi tak blisko, iż dotyka jej ramieniem. Ani jeden muskuł nie drga w jego twarzy. Nagle wypija absynt i żąda trzeciego. Wychyliwszy i tę szklankę szybko, do dna, zapada znów w odrętwiałą kontemplacyę. Wszystkie rysy jego twarzy zdają się kamienieć. Lecz powoli twarz ta rozjaśnia się, różowieje, czerwienieje, staje się szkarłatną, jak zapalający się lampion.

Przy szóstym absyncie doszedł do stanu zupełnej równowagi pomiędzy jawą a marzeniem. Osiągnął jasność poetycką. Trwa w tej samej, niewzruszonej postawie, lecz błyski przelatują przez jego oczy.

Obserwując go bacznie i długo, odkryłem w oczach tego człowieka nadzieję, zachwyt, olśnienie, szał wściekłości, rozpacz, następujące po sobie zawsze w tym samym porządku, jak gdyby uczucia trzymały się wyznaczonego scenaryusza. Nierozumiałem jednak całej akcyi, rozgrywającej się wewnątrz jego duszy, nie zauważyłem bowiem odrazu, iż obok niego siedziała kobieta, zawsze taka sama, a nigdy ta sama, kobieta obojętna, pochłonięta myślą podobania się darzącemu ją napojami mężczyźnie i nie zwracająca żadnej uwagi na tego milczącego towarzysza.

Dopiero rzeźbiarz Zadkine ukazał mi ten dziwny splot tajemnicy, powiedziawszy pewnego wieczoru:

— Dlaczego siada on zawsze obok jakiejś kobiety?

— Istotnie, — odpowiedziałem, — siedzi zawsze koło jakiejś niewiasty... Nie zauważyłem tego do tej pory...

Powróciwszy do domu, zrozumiałem, że chodzi tu o dramat imaginacyjny, uświadomiłem sobie, że Fryderyk, pod tą twarzą kamienną, niewzruszoną, przeżywa codziennie, w kilku minutach, najpiękniejszy i najsmutniejszy ze snów miłosnych.

Zasiada obok jakiejś kobiety i czeka, dopóki nie ujarzmi go działanie alkoholu.

Niebawem zawiązuje się romans... Wyobraża sobie, że kocha tą kobietę, o którą opiera się ramieniem, że kocha ją miłością, pełną ognia i nadziei. Aby ją ująć, gromadzi bajkowe, niezliczone bogactwa... przy pomocy łupiestwa, nadzwyczajnych wynalazków i odkryć, spekulacyj handlowych i giełdowych, gromadzi je w stosy w okutych skrzyniach... Równocześnie opiewa ją tryumfalnymi rymami... Kobieta daje się wreszcie zdobyć tej dwoistej miłości awanturnika i poety: Pewnego dnia jawi się na progu jego domu, obarczona różami, z twarzą przedziwnie bladą... I oto pada w jego ramiona, jak mały, martwy przedmiot, z lekkiem tchnieniem pocałunku na bladych ustach...

Unosi ją hen, daleko, w nieskończone dale, w kraj tajemniczych wysp i lasów... Idą razem poprzez pustkowia, aby umocnić swoją miłość w oceanie samotności i goryczy... Przebiegają konno równiny Golkondy, gdzie dziesiątki tysięcy czandalów poszukują dyamentów w lśniącym prochu... Na niskim, płaskim statku płyną wzdłuż dopływów Amazonki: srebrne delfiny harcują wkoło łodzi; zimorodki przypadają do ręki, jak białe kwiaty; a olbrzymie drzewa, na wysepkach, oderwanych od brzegu, długim szeregiem idą z biegiem wody, uwieńczone orchidejami... Cały krajobraz zlewa się w jedną barwę poza tjulem moskitieryi...

Lecz oto nieśmiertelna przewrotność wśliznguje się w ów szał upojenia... W Callao, jakiś wędrowny tancerz — a może to w Masulipatam, młody lord angielski — kradnie mu serce i duszę ubóstwianej kobiety. Gorączkowo ściga uciekających... Jego automobil przeskakuje rowy i przepaści, konie pod nim padają, samolot łamie się w przestworzach... Idą w ruch aparaty telegraficzne i telefoniczne, poprzez południki rzucają rozpaczliwe wezwania, beznadziejne okrzyki...

Wizye ziemskie i morskie rozwijają się, jak na ekranie kinowym... Od czasu do czasu dostrzega tę parę zdrajców, głowa przy głowie, opleciona miłośnie ramieniem: przeszywa go ból niewysłowiony. W Los Angeles czy w Padang odnajduje wreszcie kochanków w pokoju Galle Face Hotel czy Diamond Palace'u... Krzyki, strzały... Łka i szlocha, klęcząc przy wątłem ciele kobiety, leżącej martwo na dywanie... Z jej przestrzelonej skroni tryska struga mózgu...

I w tej chwili widzę, jak Fryderyk wyciąga z kieszeni zapałki, zapala trzy, cztery i płonące kładzie na swej otwartej dłoni i trzyma je tak dopóty, dopóki ból fizyczny nie zagłuszy męki moralnej.

TADEUSZ RITTNER

Powrót

Dandy był psem doskonale wychowanym. Ani przez hrabiego, ani przez hrabinę, tylko przez... własną rasę. Można powiedzieć, że edukacya jego była kompletnie skończona w chwili urodzenia w pałacu hrabiowskim. Lubili go bardzo oboje państwo (zwłaszcza ona, smukła, ogromnie wysoka szatynka), ale on dotychczas nie dał się zepsuć. Poprostu nie chciało mu się być niegrzecznym.

Mimo to był popularny. Przepadały za nim takie istoty jak kamerdyner, panna służąca, kucharka, stangret. Może głównie dlatego, że miał zasady co do czystości i nie przysparzał „biednym ludziom" pracy. Zresztą... ha, ha, ha, zasady! Dużo możnaby o tem mówić... Zapewne i zasady jego były tylko wrodzoną elegancyą.

Co do „sztuczek", nie odznaczał się bynajmniej pod tym względem. Właściwie t. zw. wybitne zdolności nie są wogóle „comme il faut". Umiał najzwyklejsze rzeczy, jak: podać łapkę, aportować, służyć i t. d., ale nie czynił tego zbyt gorąco i w formie nadto indywidualnej, tylko tak, jak się markuje czasem ogólne wykształcenie w salonie: lekko, mimochodem, zimno, bez podkreśleń... Więcej byłoby mniej w oczach tak wytwornej osobistości. Miał dziwnie sympatyczny „wyraz twarzy" (jak utrzymywała pani hrabina), ale nie kokietował, nie narzucał się swym wdziękiem i nikt w całym domu, nie wyłączając hrabiny, nie mógł poszczycić się najmniejszym dowodem jego szczególniejszej sympatyi.

— Właściwie jest egoistą — orzekł raz hrabia — jak wszystkie foksteryery.

Na to oburzyła się hrabina.

Ale, zdaje się, że i hrabina nie była całkiem pewna co do serca i charakteru swego „jedynaka" (wyrażenie ironiczne pana hrabiego) i z pewnym niepokojem wewnętrznym codziennie starała się na nowo o jego względy. Wszyscy domownicy starali się bezustannie i dość bezowocnie o jego względy.

Wszyscy, z wyjątkiem pana Teodora, bibliotekarza i kustosza sławnych zbiorów hrabiowskich. Pan Teodor nosił okulary, był głęboko uczony i... wogóle nic nie widział. Zajmowały go prawie wyłącznie rzeczy martwe. Pominąwszy

chyba panią hrabinę, z którą czasem w swej imaginacyi flirtował podczas rozmowy o malarstwie toskańskiem i nawet podczas milczących i długich obiadów. Zresztą żywa natura była dla niego czemś w rodzaju przeszkody, czemś, co „nie daje spokoju". O istnieniu psa w pałacu miał tylko bardzo ciemne i niewyraźne pojęcie, Dandy siadywał w jadalni pod stołem, ale zachowywał się tak cicho i przyzwoicie, że nie był żadną „przeszkodą", a tem samem dla pana Teodora nie istniał.

Zauważył go pan Teodor dopiero raz na wiosnę, kiedy hrabia i hrabina wyjechali do Florencyi.

— Cóż to? — spytał Teodor lokaja, wchodząc o godzinie 2-giej do stołowego pokoju — przecież nie przyszedłem za wcześnie?

Tak niemożliwie był roztargniony, że zapomniał kompletnie o podróży gospodarstwa, choć projekt omawiało się przedtem conajmniej przez trzy tygodnie. Zdziwił go więc pusty pokój. A kiedy lokaj nie bez śmiechu wyjaśnił mu sytuacyę, pan Teodor spojrzał naokoło siebie zdziwionym wzrokiem, tak, jakby znajdował się w tem miejscu po raz pierwszy.

Ciekawa rzecz, ale w tej ciszy i samotności odczuł niejako... „przeszkodę". Czegoś mu brakowało, choć miał poddostatkiem tego, co lubił najwięcej — spokoju.

Brakowało mu perfum pani hrabiny.

Uświadomił to sobie dopiero po drugiej potrawie. I w tej chwili było mu przykro. Mimowoli spojrzał w tym kierunku, gdzie zwykle siedziała i zdziwił się... Na krześle hrabiny siedział wyprostowany Dandy.

— A to co? — spytał dość ostro.

— Pies — odrzekł lokaj.

Potrząsnął głową.

— No tak... pies... widzę, że pies... Ale przecież on tam dotychczas nie siedział...

Lokaj uśmiechnął się po raz drugi.

— Nie; dotychczas siedział pod stołem... Ale on wie dobrze, że jaśnie państwo wyjechali.

Pan bibliotekarz czuł się dotknięty. Cóż z tego (pomyślał), że oni wyjechali?! Ale ja jestem. Pies powinien być zawsze psem. Bez względu na pozycyę socyalną człowieka, który je obiad. Ja także należę do „państwa" (pomyślał), choćby dlatego samego, że jem widelcem i nożem, nie macham ogonem i mam wyższe wykształcenie. Właściwie trzebaby ze względów zasadniczych zakazać psu siedzenia na krześle. Nie przeczę, że mam dosyć miejsca dla siebie (pomyślał), lecz tu chodzi niejako o porządek prawny, społeczny... I chrząknął, ażeby lokaja poprosić o zakazanie psu siedzenia na krześle (bo bał się, że sam tego nie potrafi).

...Ale w tej chwili wpadło mu na myśl, że lokaj go nie zrozumie. Lokaj może jest socyalistą, albo czemś podobnem. Chrząknął drugi raz i poprosił o wodę.

Pies siedział nieruchomy i przypatrywał się z widocznem zajęciem polędwicy na dziko z burakami i makaronem.

Pan Teodor spoglądał na zwierzę przez okulary i myślał:

— Całkiem biały piesek. To ciekawe... A przytem nie szczeka, nie rusza się nawet. Dziecko krzyczy ,naprzykrza się... a taki piesek siedzi grzecznie jak dorosły... Ot na stole są dobre rzeczy, a on nie weźmie. Ciekawe!... Dlaczego nie weźmie? Czy dlatego, że mnie się boi, czy z moralności jakiej?...

Chrząknął...

— A gdyby tak nikogo nie było w pokoju? — spytał lokaja — to skoczyłby na stół i zjadł wszystko, co jest?

Lokaj nie zrozumiał.

— Kto skoczyłby na stół?

— No... pies.

Lokaj uśmiechnął się po raz trzeci.

— Dandy? O gdzieżby! Sam nigdy nie ruszy. Zje tylko to, co mu się da. Sam nigdy...

Pan Teodor zastanowił się:

— Jakie to dziwne. Pomyśleć, że pies to zwierzę, a jednak istnieją dla niego tak niewidzialne, nierealne rzeczy, jak „wolno" i „nie wolno"... — Byłby chętnie spytał lokaja, czy wszystkie psy jedzą tylko to, co im się da... Ale wstydził się... — Tego rodzaju ludzi — myślał — można, nie kompromitując się, pytać zawsze tylko o rzeczy konkretne. Można spytać: czy w tej wodzie są pstrągi?... Ale nie wolno spytać: w jakich wodach są pstrągi?... Bo potem zdaje się takiemu panu — myślał, — że mi daje lekcyę, że jest mędrzejszy, wykształceńszy odemnie...

Lokaj przyniósł czarną kawę i odszedł. Pan Teodor spojrzał na zegarek i stwierdził, że zazwyczaj obiad trwa znacznie dłużej, bo po kawie jeszcze siedzi się pół godziny przy stole i mówi się n. p. z panią hrabiną o malarstwie toskańskiem. Ale dzisiaj?

Pies siedział nieruchomy i przypatrywał się z widocznem zajęciem białym kostkom w cukierniczce. Ponieważ nie znał się chyba na malarstwie toskańskiem, więc pan Teodor wziął kawałek cukru i z niezwykłym u siebie niby - humorem spytał:

— Może pan pozwoli?

Na to pies zeskoczył natychmiast z krzesła, przybiegł do Teodora i maskując elegancko swą chciwość w pięknej pozie, czekał.

Proszę — rzekł wreszcie Teodor.

I pies połknął cukier. Pan Teodor zaśmiał się (trochę zachrypłe, jak instrument rzadko funkcyonujący) i powiedział sobie, że to „bardzo ciekawe".

Powtórzył zaproszenie... i pies znowu „całkiem tak samo" połknął drugi kawałek cukru.

— Całkiem tak samo — stwierdził Teodor z pewnem rozczarowaniem.

Przy trzecim kawałku była pewna odmiana, bo pan Teodor umieścił go dość wysoko na poręczy krzesła i Dandy musiał wykonać kilka męczących skoków, zanim go dostał.

Ale w rezultacie obaj byli zadowoleni; pies machał ogonem, jakby chciał powiedzieć:

„Wcale miły pan... w gruncie rzeczy".

A pan Teodor pomyślał:

„W tym kierunku możnaby kształcić dalej pojętnego pieska".

Potem udał się na razie do biblioteki. Ale wieczorem, przy kolacyi, rzekł do lokaja:

— Dandy ma wiele inteligencyi...

Lokaj w pierwszej chwili nie zrozumiał o co chodzi, ale bądź co bądź w zasadzie się zgodził.

Pan Teodor wrzucił dwa kawałki cukru do herbaty, a trzeci położył na kredensie.

— „Aha" — rzekł do siebie Dandy, pobiegł do kredensu i po kilku sekundach zdobył cukier.

Lokaj uśmiechnął się z pewnem zastrzeżeniem, jakby chciał zaznaczyć, że są trudniejsze sztuki. A pan Teodor zaproponował:

— Gdyby mu tak schować gdzieś cukier...! Ciekaw jestem, czyby też znalazł...

— O, czemu nie! — rzekł lokaj i spojrzał naokoło, szukając niby wzrokiem odpowiedniego miejsca.

Ale pan Teodor zauważył inteligentnie:

— Trzebaby jednak schować tak, żeby Dandy nie widział...

— A, to mogę wyprowadzić go z pokoju — powiedział lokaj — a pan tymczasem schowa.

I wyprowadził psa z pokoju, a uczony pan bibliotekarz tymczasem „chował".

Najpierw pod dywan, potem pod kredens, wreszcie pod kanapę...

I wszyscy trzej rozbawili się, aż miło. Pokazało się, że Dandy miał węch genialny, a pan kustosz strasznie mało fantazyi!...

Kanapa wpadła mu dość szybko do głowy, ale potem stwierdził, że w stołowym pokoju jest strasznie mało mebli...

— Czy już? — pytał lokaj niecierpliwie z drugiego pokoju.

— Zaraz, zaraz — odpowiadał z pewną tremą pan Teodor.

I schował cukier pod obrus.

Ale potem nie wiedział już nic, literalnie nic... Więc lokaj radził:

— Do kominka...

— Za obraz...

Albo:

— Do szuflady kredensu.

A pan Teodor przyjmował każdą taką radę stereotypowym okrzykiem (zapożyczonym z jakiegoś „Robinsona szwajcarskiego", którego czytał mając lat siedm):

— Doskonała myśl, dalejże do dzieła!

I na miłej zabawie niespostrzeżenie tyle ubiegło czasu, że pan Teodor udał się znacznie później na spoczynek, niż zazwyczaj, choć obecnie niemiał przy stole żadnej inteligentnej rozmowy.

Nazajutrz zaś — gdy pracował właśnie nad swem dziełem o Botticellim — wpadło mu ni stąd, ni zowąd do głowy:

„Pod spluwaczkę".

I aż zaśmiał się z radości.

Po kilku dniach zabawy zrobił się sport formalny, a po tygodniu poprostu pasya, której, oprócz pana Teodora i lokaja, oddawała się z czasem cała służba.

Wszyscy „chowali" od rana do wieczora z panem Teodorem, ale i bez niego — w różnych porach dnia, raz według tego, raz według innego systemu... na coraz to przebieglejsze, dziksze wpadając pomysły...

Bo okazało się, że Dandy był geniuszem. Odezwała się w nim rasowa krew myśliwska — zaczął teraz dopiero żyć swojem pełnem, własnem, najistotniejszem życiem.

Był ciągle na polowaniu, ciągle w ruchu. Nie „karmili" go już tak, jak dawniej... Nie — on sam szukał sobie, własnym instynktem, węchem zdobywał sobie... pokarm.

Uległ metamorfozie zupełnej, bajecznej, nieprawdopodobnej, której w zaślepieniu swem nie spostrzegł pan kustosz sławnych zbiorów hrabiowskich...

Aż dnia pewnego, na wiosnę, nadeszła depesza od pana hrabiego:

„Przyjeżdżamy wieczór 10 pięć. Konie, kolacya kąpiel".

Pan Teodor siedział właśnie przy obiedzie, kiedy lokaj przyniósł mu ten telegram.

Lewą ręką jadł kurę z sałatą, a w prawej trzymał szpicrutę, broniąc się rozpaczliwie przeciw psu, który mu porywał co chwila najlepsze kąski z talerza.

— Straszne zwierzę — westchnął lokaj — (nie mając odwagi usunięcia psa ze stołu).

Pan Teodor zaś zrezygnował z reszty jedzenia, żeby módz przeczytać depeszę...

— W spiżarni są pustki — mówił lokaj — a mięso na dzisiejszą kolacyę pożarł także.

Pan bibliotekarz rzucił depeszę na stół.

— Przeczytaj! — rozkazał lokajowi...

— Dzisiaj wieczór? — zdziwił się lokaj.

Pan Teodor spojrzał naokoło błędnym wzrokiem... Na psa, na półmisek, na pokój... Przypomniał mu się pierwszy obiad samotny, kiedy to się zdziwił, że „piesek siedzi grzecznie jak dorosły..." Zbladł jak chusta... Zaczął dzwonić zębami...

— Co panu?

Teodor wybełkotał:

— Po... powrót...

Lokaj się zdziwił:

— No tak... ale dlaczego pan taki blady... Powrót państwa...

Teodor wrzasnął.

— Powrót psa... nie państwa! Rozumiesz?

— Nie! — szepnął lokaj, wytrzeszczając oczy.

— Powrót do natury... do stanu dzikiego... do lasu... Rozumiesz?!

Lokaj spojrzał na psa, jakby po raz pierwszy...

— Przecież to zwierzę drapieżne — krzyczał Teodor — wilk... wilk!...

Teraz lokaj zbladł także. Uśmiechnął się jednak po chwili i stwierdził:

— No tak... Ale ja nie jestem temu winien.